STRON 8

ROK V • NR. 2 /186/

NIEDZIELA 14 STYCZNIA

LONDYN • 1951

# ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh



TOMASZ DOBROWOLSKI

## ŻĄDANIE RZECZYWISTOŚCI

ROZPATRZENIE się uważne w sytuacji, w jakiej znajduje się dzisiaj ludzkość, nasuwa nam z nieodpartą logiką dwa zasadnicze wnioski:

1. Że żadne niemal z piętrzących się przed nami zagadnień, żaden problem o istotnym znaczeniu nie może znaleźć rozwiązania w skali innej, niż ogólno-światowa, na płaszczyźnie węższej niż ponad-narodowa.

2. Że podejmowane dotychczas próby znalezienia rozwiązań dla najbardziej zasadniczych nawet i podstawowych zagadnień rozbijają się o ciasny i krótkowroczny egoizm, że sprawy wspólne dla całej ludzkości, jak zagadnienia bezpieczeństwa, wyżywienia, czy dostępu do zasadniczych surowców, rozgrywane są dalej w imię podwórkowych „racji stanu" przy pomijaniu najbardziej podstawowych zasad słuszności i sprawiedliwości.

Widzimy, **dokąd nas to** doczas zaprowadziło. Widzimy, że ludzkość znalazła się w sytuacji, gdzie w tej chwili rozstrzyga jedynie prawo siły. Perspektywy na przyszłość wskazują nam w najszczęśliwszym wypadku na możliwość usunięcia najgroźniejszego w tej chwili niebezpieczeństwa światowej dyktatury bolszewickiej. Ale aby nawet ta możliwość stała się faktem, potrzeba przejść do porządku dziennego nad źle pojętymi „interesami narodowymi" sprowadzającymi się najczęściej do demagogicznych argumentów przedwyborczych. Jeśli się chce walkę, nawet na tym najbliższym odcinku, wygrać — trzeba uprzytomnić sobie jasno, do czego się właściwie zdąża, co się naprawdę pragnie osiągnąć.

Cyniczne odrzucenie przez zachodnich politvków i mężów stanu zasad Karty Atlantyckiej, która w czasie ubiegłej wojny miała odgrywać rolę gwiazdy przewodniej ludzkości, a po zakończeniu działań wojennych została pogardliwie nazwana świstkiem papieru — pokazało nam jasno, że najszczytniejsze i najsłuszniejsze nawet hasła nie są nic warte, jeśli nie wypływają szczerze z głęboko zakorzenionego światopoglądu, jeśli nie są zbudowane na głębokiej i uczciwej ideologii, jeśli nie są oparte o wieczyste, trwałe wartości.

Przecież i Rosja Sowiecka podpisała się pod Kartą Atlantycką. Przecież nawet moskiewskie „Izwiestja" pisały na swych wielkich płachtach „kuritielnoj bumażki", że wojna toczy się po to, aby „nikakij czeławiek w nikakoj stranie wsiu swaju żyźn nie zaznał ni stracha ni gołoda"!

Zasady, szumnie reklamowane w Karcie Atlantyckiej, głoszone były tak długo, jak długo miały obiegową wartość propagandową, jak długo miały być bodźcem wysiłku wojennego. Gdy stały się niepotrzebne, zostały wyrzucone — do śmieci.

To może się powtórzyć jutro. Tylko następstwa będą jeszcze bardziej katastrofalne.

**Jeśli bezmyślna krótkowzroczna** polityka mężów stanu doprowadziła po ostatniej wojnie i w wyniku jej następstw do opanowania niemal połowy ludzkości przez komunistyczny imperializm i wtłoczyła wolne narody w jarzmo sowieckie, jeśli polityka ta w kilka zaledwie lat po zakończeniu działań wojennych stawia nas teraz przed nieuniknionym, po ludzku rzeczy biorąc, widmem nowej, straszliwszej znacznie wojny, o której mówi Ojciec Św. w orędziu wigilijnym, że grozi pozostawieniem ziemi „pustą i próżną — pustynią i chaosem podobnym do pustkowia nie w zaraniu światła ale u jego schyłku", to dalsze prowadzenie tej polityki równa się zbiorowemu samobójstwu, a brak jasnej i zdecydowanej myśli politycznej na skalę światową wiedzie do wyniszczenia ludzkości, do zagłady cywilizacji.

A jak w tej sytuacji zachowuje się trzystumilionowa siła katolików całego świata?

Dotychczas — biernie.

Olbrzymia większość nas nie sięga wzrokiem dalej, niż koniec własnego nosa. Olbrzymia większość nie zdaje sobie w ogóle sprawy z tej gigantycznej, ciążącej na każdym z nas odpowiedzialności. Współodpowiedzialności za losy świata. Współodpowiedzialności osobistej za każde umęczone życie w sowieckich obozach powolnego konania, za każdą śmierć głodową nieznanego nam Chińczyka, czy jednego z wielu milionów pariasów w Indiach. Za każdy wykoszlawiony żywot robotnika z przedmieść Manchesteru czy więźnia z Sing-Sing.

Jesteśmy zbyt leniwi, aby się nad tym zastanowić. Zapatrzeni we własne sprawy nie **chcemy** wpływać na losy świata. Nie pamiętamy o tym, że być człowiekiem, to jest wielka odpowiedzialność, a być katolikiem, oznacza zwiększony jeszcze ciężar tej odpowiedzialności.

Usuwanie się od tej odpowiedzialności pod pozorem „apolityczności" świadczy jedynie o fantastycznym pomieszaniu pojęć, a nie o zrozumieniu obowiązku katolicyzmu czynnego, obowiązku włożenia wszystkich sił w realizację ideału zapanowania ładu Bożego na ziemi.

Na nic tu zasłanianie się zdaniem, że cele nasze są wyższe ponad sprawy ziemskie. Będąc doczesnymi mieszkańcami ziemi mamy obowiązek dołożenia wszystkich sił, aby bolszewicki despotyzm, wypowiadający walkę zarówno Bogu jak i człowiekowi, tę walkę przegrał —

ale mamy również obowiązek walki o to, aby nędza i głód nie spychały w przepaść grzechu naszych braci i sióstr, i o to też, aby warunki ekonomiczne, niesprawiedliwość i wyzysk, nie stawały się pożywką dla materialistycznych ideologii. Czyż byłoby miejsce na bolszewizm w świecie, w którym by panowały zasady chrześcijańskiej sprawiedliwości społecznej?

Jest nas trzysta milionów katolików. Mamy oparty o karty Ewangelii skarb jasnych i prostych, zakreślonych encyklikami wielkich Papieży, zasad chrześcijańskiej sprawiedliwości społecznej. W oparciu o nie możemy praktycznie zmienić oblicze ziemi. Jesteśmy obecni we wszystkich państwach świata. Mamy wszelkie dane do zorganizowania ścisłej współpracy międzynarodowej, nie w ciasnych ramach egoistycznych międzynarodowych kombinacji, czy grup interesów, ale na szerokiej ponad-narodowej płaszczyźnie sprawiedliwości opartej o wartości nieprzemijające — wieczyste.

Nie dokonają tego najszlachetniejsze nieraz w zamierzeniach wysiłki najlepszych nawet polityków i mężów stanu katolickich, działających na terenie różnych, często sprzecznych niemal ze sobą, politycznych ugrupowań. Wtłoczeni w ramy żelaznej dyscypliny nowoczesnej organizacji partyjnej nie są oni w stanie wiele zdziałać a rozproszone ich wysiłki w większej swej części idą na marne. I nie czas teraz na półśrodki.

Sytuacja wymaga od nas wszystkich, całych trzystu milionów rozrzuconych po świecie katolików, — zdecydowanego, jednolitego, solidarnego, zorganizowanego działania. *Stworzenia silnej, spoistej organizacji. Ponadnarodowego Ruchu Sprawiedliwości Społecznej i Współpracy Międzynarodowej.*

Albo, jeśli ktoś to będzie chciał tak nazwać — Katolickiej Międzynarodówki.

Nie chodzi o nazwę — chodzi o treść.

A przede wszystkim chodzi o czyn, nie o słowa. O działanie. Działanie solidarne, rozumne i planowe. I chodzi też o szybkość.

**Tomasz Dobrowolski**

## OJCIEC ŚW. O POKOJU I WOJNIE

Czy katolik może być pacyfistą? — To zależy, co będziemy rozumieli pod słowem pacyfizm. Jeśli nim jest stanowisko, wyrażające się sloganem „pokój za *wszelką* cenę", lub „*każdy* pokój lepszy jest od wojny"; jeśli pacyfizm jest tylko naiwnym sentymentalizmem; jeśli jest formą strachu lub obawą przed utratą trwającej wygody — co wychodzi na jedno; jeśli jest zgodą na jawną i istotną krzywdę, która wyniszcza naród, lub grupę narodów pod postacią fałszywego pokoju: — takim pacyfistą katolikowi być nie wolno.

Jezus powiedział nie tylko: „błogosławieni pokój czyniący", ale również: „nie mniemajcie, że przyszedłem zsyłać pokój na ziemię: nie przyniosłem pokoju, ale miecz". W swych przypowieściach Zbawiciel, który zna naturę ludzką i „wszystko, co jest w człowieku", używa przykładu o wojnie i pokoju, nie kwalifikując ani wojny ani pokoju — poza stwierdzeniem faktu obu tych zjawisk w dziejach. Jakkolwiek straszną jest wojna, jakkolwiek błogosławionym jest pokój, i jedna i drugi podlegają jednak rozumnej decyzji człowieka. (por. Łuk. 14, 31-32). Nie może być katolickim stanowisko wykluczające — przy obecnym stanie rzeczy — nawet wojnę, jako, niestety, środek przywracający zapanowanie sprawiedliwości.

Pius XII, którego panowanie jest bezustannym nawoływaniem do pokoju, który jesienią 1939 roku błagał świat o zachowanie pokoju „przez który nic się nie traci, gdy przez wojnę wszystko stracić można", nie przestaje nigdy podkreślać, jaki pokój ma na myśli: Nie pokój „za wszelką cenę", ale pokój honorowy, pokój sprawiedliwy, wolnie zawarty, wolny od wszelkich krzywdzących warunków, od wszelkiego nieznośnego ciężaru.

W dzień Nowego Roku 1951 przyjmując korpus dyplomatyczny, akredytowany przy Stolicy św. Pius XII raz jeszcze wyraźnie podkreślił, jakie są warunki pokoju chrześcijańskiego, głoszonego przez Kościół. I przy tej okazji powiedział słowa o warunkach wojny usprawiedliwionej, „wojny popularnej" —jak się wyraził — które powinny dać wiele do myślenia naiwnym katolickim „pacyfistom". Przemówienie to drukujemy poniżej:

**(Red.)**

## DO KORPUSU DYPLOMATYCZNEGO — 1. I. 1951

W KRÓTKIM odstępie czasu, który dzieli zamknięcie świętych podwoi od początku Nowego Roku, oczy wiernych pozostają utkwione w ten promień jasności, który pozostał po Jubileuszu rzymskim. Ta światłość będzie promieniować teraz na wszystkie strony świata, rozciągając na nie swe zbawienne skutki. Ten zbieg okoliczności nadaje odwiedzinom Waszych Ekscelencyj i przyjęciu, którego udzielamy, charakter bardziej uroczysty a zarazem bardziej osobisty, niż to wynika w związku z pamiętnymi okolicznościami minionych dni: charakter osobisty wypływa z Waszego osobistego w nich udziału. Byliście, Panowie, w ciągu całego Roku Świętego świadkami wydarzeń, które znaczyły każdy z jego dni: przez waszą stałą pilność w stosunku do tych wydarzeń okazaliście swoje zrozumienie ich wielkości i ich wspaniałości, ich szerokiego i głębokiego promieniowania, jakich Korpus Dyplomatyczny przy Stolicy Apostolskiej zapewne nigdy dotąd nie zanotował.

Powiedzieliśmy, że byliście świadkami. — Więcej niż świadkami: gdyż dzięki Waszej wysokiej kulturze, współczującemu zrozumieniu chrześcijańskiego Rzymu i jego życia, dzięki delikatnej współpracy Waszych rodzin i rozumnemu współdziałaniu wszystkich kancelarii, byliście cennymi współpracownikami w dziele szczęśliwego przebiegu Roku Św.

Widzieliśmy i oceniliśmy Wasze stałe współdziałanie z organami Stolicy Apostolskiej, ułatwiające dyskretnie ich trudne zadania: mogły one liczyć na Wasze zawsze życzliwe zainteresowanie, na Wasze mądre rady, na Wasze doświadczenie. Zrobiliście wszystko, by usunąć trudności nastręczające się w związku z transportami, z przekazami pieniędzy, z paszportami. Nie zapomnieliście o niczym, by ułatwić pielgrzymom przybyłym ze wszystkich krańców świata ich pobyt tutej: byli oni szczęśliwi widząc z Waszej strony serdeczne przyjęcie. Zachowali oni również dobre wspomnienie życzliwości uczuć religijnych Pań z Korpusu Dyplomatycznego. Jest dla Nas miłym obowiązkiem wyrazić Rządom Waszych krajów Naszą żywą wdzięczność za szerokość poglądów i uczuć, z jakimi ułatwiły one podróż imponującemu napływowi pielgrzymów do Świętego Miasta. Czyż nie był cudownym, w czasie tak tragicznych walk i starć między braćmi, widok Rzymu, który się stał terenem braterskich spotkań i duchowego zbliżenia narodów?

Ze wszystkich manifestacji, którym okazję dał Rok Św., nie ma ważniejszej w dziedzinie stosunków ludzkich, nie ma bardziej znamiennej, aniżeli to głośne stwierdzenie woli narodów jednomyślnie pragnącej pokoju, *pokoju sprawiedliwego, wolnie zawartego, pokoju wolnego od wszelkich krzywdzących warunków, od wszelkiego nieznośnego ciężaru. Tego pokoju* wszyscy oczekują, wszyscy go pragną, wszyscy on błagają. Wszyscy wypowiedzieli z jednaką energią i jasnością swój wstręt do wojny, swoje przekonanie, że wojna bardziej niż kiedykolwiek nie jest narzędziem właściwym do rozwiązania starć, do przywrócenia sprawiedliwości. Mogą to zrobić tylko układy *wolnie* i *lojalnie* przyjęte. *Gdyby zaś mogła być mowa o wojnach popularnych — to znaczy o wojnach odpowiadających pragnieniom i woli ludności — mogło by to być jedynie w wypadku krzywdy tak jawnej i tak niszczącej istotne dobra narodu, że wywołałaby ona odruch oburzenia w sumieniu całej nacji.*

Taką jest wola pokoju, wyrażona formalnie przez wszystkie narody w sposób niezaprzeczalny wobec wymowy słów i czynów. Zapał w zdążaniu do Rzymu, który stał się symbolem chrześcijańskiego uniwersalizmu, wspólne życie bez cienia niechęci narodowych, to wzruszające zbliżenie chorągwi do chorągwi, narodu do narodu, szczera radość wspólnego udziału w tych samych dobrodziejstwach i w tym samym szczęściu od zapominania przez to o własnej ojczyźnie, wszystko to miało wartość plebiscytu narodów za pokojem, nie tylko w imię chrześcijaństwa, ale w imię całej ludzkości. Rok Jubileuszowy, zamiast być końcem epoki, znaczyć się będzie początkiem nowej drogi.

Z tą myślą i z tą nadzieją błagając Boga z niezmienną życzliwością, by strzegł narodów, które tak godnie przedstawiacie, ich ciał prawodawczych, ich rządów, prosimy Pana o opiekę nad Waszymi Ekscelencjami, Waszymi współpracownikami i rodzinami.

JAN TOKARSKI

# U. S. A. — „KRAJEM KATOLICKIM"

„JEŻELI protestantyzm będzie tolerował biernie wszelką umowę na zasadzie absolutnej równości każdej religii w obliczu państwa amerykańskiego, przypieczętuje tym własny los skazując się na rolę mniejszościowej sekty, która będzie wegetowała na marginesie życia amerykańskiego. Główny prąd naszej kultury popłynie kanałem, wyznaczonym przez jedną religię wyodrębnioną (t. zn. katolicką), umocnioną w pozycji uprzywilejowanej i cieszącą się prestiżem, nadanym jej przez rząd." Już dziś bowiem „katolicyzm stał się silną i groźną mniejszością".

Tak pisał przed trzema przeszło laty *The Christian Century*, najpoważniejszy organ protestancki USA, zwracając w serii artykułów uwagę protestantów na „niebezpieczeństwo wytworzone przez Kościół katolicki" na skutek niesłychanego rozwoju katolicyzmu w tym kraju. A jest to rozrost tak żywiołowy, idący tyłu drogami i tak szeroką ławą — od pariasów Ameryki, murzynów z najnędzniejszej nowojorskiej dzielnicy Harlem poprzez najróżniejsze grupy ludności na przemysłowcach, pastorach, studentach, artystach, intelektualistach kończąc — że można śmiało mówić o stanie napięcia i gwałtownego poruszenia w rozbitym na blisko 300 sekt amerykańskim protestantyźmie (a żadna z tych sekt cyfrowo biorąc nie przedstawia z osobna tej siły co katolicyzm); o stanie napięcia w obliczu czegoś, co oni sami nazywają — jako możliwy kres tego, co dzieje się obecnie — „uczynieniem z USA kraju katolickiego".

Od czasu, kiedy te słowa znalazły się we wspomnianym piśmie, ilość katolików w USA wzrosła o dalsze dwa miliony, a w ostatnich 4 latach nie licząc przyrostu naturalnego ludności katolickiej, ilość nawróceń na katolicyzm wyraża się rocznie cyfrą ok. 120.000 W ostatnim dziesięcioleciu w USA przybyło 7 milionów katolików, a książki niektórych konwertytów jak Th. Mertona, J. L. Stoddard'a (*Rebuilding a Lost Faith*), Selden Delany'a (*Why Rome?*), J. Moody'ego (*Long Road Home*) i innych są tłumaczone na obce języki i osiągnęły zawrotne nakłady, jak na nasze europejskie pojęcia, idące nieraz w setki tysięcy. Sławna zaś książka paulisty Bernarda Conway *The Question Box*, zawierająca odpowiedzi na 1000 (tysiąc) najtypowszych zarzutów protestanckich przeciw katolicyzmowi w jednym tylko z wydań osiągnęła ponad 2 miliony nakładu!

W czasach, gdy Kościuszko i Pułaski walczyli o wolność Ameryki, a więc mniejwięcej w okresie rozbiorów Polski, ilość katolików w Ameryce wynosiła 30.000 na 4.000.000 ludności. Co 133 Amerykanin był katolikiem. Dziś, po 170 latach przy 150 milionach ludności — co szósty Amerykanin jest katolikiem. A więc w czasie, gdy liczba ludności Stanów powiększyła się 37,5 razy, ilość katolików wzrosła 933 razy i wynosi 28 milionów.

Na tle ogromnego rozwoju katolicyzmu, doszło w Stanach, jak pamiętamy z prasy, do silnego wrzenia wśród protestantów i do aktów zbiorowej nietolerancji wobec katolików (akcja przeciw przedstawicielstwu prezydenta USA przy Papieżu; przeciw korzystaniu z autobusów przez dzieci katolickie udające się do szkół; przeciw katolickim szkołom parafialnym, etc.). Cytowany *The Christian Century* stawiał sprawę na ostrzu, pobudzając współwyznawców by czynili wszystko, aby przeszkodzić rozwojowi katolicyzmu, który z garstki urósł do znaczenia najpotężniejszej grupy wyznaniowej w Stanach. — Jakie są przyczyny tego rozrostu, który spowodował, że siłą, a także znaczeniem, katolicka grupa Ameryki wzrosła ponad kraje tak tradycyjnie i odwiecznie katolickie jak Hiszpania, szczycąca się tym, że jej chrześcijańskie początki sięgają św. Pawła, czy przygotowująca się do obchodzenia chrześcijańskiego Tysiąclecia Polska? Jakie są przyczyny tak wielkiej ilości nawróceń w Stanach?

Na to pytanie daje udokumentowaną odpowiedź w dwu ostatnich numerach „Civiltà Cattolica" (z 2 i 16 grudnia ub. r.) G. A. Hardon S. I. Warto po krótce zapoznać się z niektórymi elementami tej odpowiedzi.

Otóż, jak stwierdza O. G. A. Hardon, po łasce rozwój ten przypisać należy wytężonemu i zorganizowanemu apostolstwu katolików amerykańskich, zarówno kapłanów jak i świeckich. Akcja idzie w dwu kierunkach, teoretycznym i praktycznym.

Punktem wyjścia działalności teoretycznej jest przeświadczenie, że bardzo wielu braci oddzielonych od prawdziwej wiary jest subiektywnie szczerych w swej postawie przeciw katolicyzmowi i Kościołowi. Ponieważ na tę postawę niechętną składa się przede wszystkim ogromna ilość uprzedzeń oraz najfałszywszych, najpaczniejszych wyobrażeń, dotyczących wierzeń katolickich, należy rozpocząć od rozwiewania przesądów. Trzeba najpierw przedstawić prawdę, aby móc przejść do skutecznego pozytywnego nauczania. Z początkiem tego stulecia O. Bernard Conway, paulista, wskazał drogę: Przez 30 lat objeżdżał kraj z kazaniami, prosząc wszędzie niekatolików o dawanie na piśmie zarzutów przeciw wierze katolickiej i Kościołowi. Zebrał ich 250.000 (!), z czego wybrał 1.000 najbardziej godnych uwagi i z odpowiedzią na każdy, wydał w książce. Tak powstał słynny *The Question Box*, z przedmową znanego kardynała Gibbonsa, arcybiskupa Baltimore, „najpopularniejsze *vademecum* w języku angielskim dla ewentualnych kandydatów na wejście do Kościoła". — O sukcesie tego wydawnictwa była mowa wyżej.

Można śmiało powiedzieć, że pauliści swoją działalnością w New Yorku, a zwłaszcza wspomnianą książką O. Conway'a są u początku tej fali nawróceń w Stanach. W tym samym celu: prostowania pojęć i kruszenia przesądów na temat nauki i praktyki katolickiej zaczęły powstawać nowe organizacje, a organizacje z dawna istniejące do tego celu przystosowywały swoją działalność. Na tym odcinku jest interesujący zwłaszcza tak zwany *Ruch z Narberth*, któremu dał początek specjalista od ogłoszeń handlowych, zmarły w 1942 roku Karl H. Rogers. Zawód Rogersa warto podkreślić, gdyż działalność apostolska ruchu jest ściśle związana ze zdolnościami inicjatora.

Przed przeszło 20 laty grupa mężczyzn w mieście Narberth w stanie Pensylwania w odpowiedzi na apel Piusa XI w sprawie Akcji Katolickiej postanowiła przystąpić do działa apologetycznego w najbliższych okolicach. Pod przewodnictwem proboszcza założono *Stowarzyszenie Informacji Katolickiej*, które rozesłało do 500 niekatolików list przedstawiający z całą otwartością cele nowej organizacji, a potem co miesiąc wysyłało w kopercie zredagowany przez Rogersa arkusik, dający się przeczytać w dwie minuty, w niczym nie przypominający religijnego traktatu. Pierwsza strona zawierała tytuł nawiązujący do jakiegoś faktu, lub często „wyjmujący z ust" przeciwników katolicyzmu zarzut, np.: *W co wierzy 350.000.000 ludzi; Żadna kura nie zniosła nigdy zepsutego jajka; Czy Kościół katolicki jest Kościołem ignorantów?* Odpowiedzi były krótkie, pełne ognia, nie dopuszczające wątpliwości, a całość kończyła zawsze prośba o zwrócenie się po wyjaśnienia w sprawach jakichkolwiek wierzeń i praktyk katolickich.

Jeszcze za życia inicjatora i założyciela pobłogosławił tej akcji św. kard. Dougherty, arcybiskup Filadelfii. Dziś przybrała rozmiary, o jakich Rogers nigdy nie śnił. Ponad 50 biskupów zażądało jej rozszerzenia na cały kraj, w czym bierze udział ogólnoamerykański Związek Mężów Katolickich (N.C.C.M.). Zamiast 500 listów, które w r. 1929 docierały do tyluż rodzin protestanckich raz na miesiąc, obecnie owe „artykuły z Narberth" docierają co tygodnia do *milionów* niekatolików. 22 Stowarzyszenia Informacji Katolickiej otrzymują pomoc z centrali N.C.C.M. w postaci krótkich artykułów, które z kolei Stowarzyszenia zamieszczają w laickiej prasie lokalnej, ogłaszając je (jeśli trzeba to i płatnie) w 425 gazetach w postaci stałej rubryki p.t. *Informacja Katolicka*. W ten sposób miliony ludzi ma możność, przy pomocy prasy niekatolickiej, dowiadywać się prawdy o Kościele Chrystusa, prawdy, która inaczej nigdy by do nich nie dotarła. A że artykuły te są pozbawione akcentów polemicznych, nie tylko znajdują licznych czytelników, ale, jak o tym mówi O. Hardon — zalecane są nieraz przez pastorów protestanckich własnym wiernym jako stosowna lektura religijna. Tak np. Stowarzyszenie Pastorów w archidiecezji New York, liczące ponad 80 członków, doradza współwyznawcom lekturę w miejscowych gazetach laickich *Informacji Katolickiej* „w celu pogłębiania znajomości Chrystusa i Jego posłannictwa"!

Drugim ważnym elementem tej działalności apostolskiej to bardziej już Czytelnikom ŻYCIA znana radiowa *Godzina katolicka* (nawiasem mówiąc, trwająca pół godziny). Rozpoczęły ją nadawać 22 stacje National Broadcasting Corporation. Dziś, z powodu dobrych programów, tak w dziele odczytów, jak i muzyki i dramatu radiowego, wyróżnianych nieraz zaszczytnie przez powołaną instytucję amerykańską, program *Godziny* transmitują 102 stacje na terenie USA i Hawajów. Program i całą stronę administracyjną opracowuje ogólnokrajowy Związek Mężów Katolickich. Obliczą się, że audycyj tych słucha (co niedzielę o godzinie 6 po poł.) około 15 milionów Amerykanów. Organizatorzy otrzymują przeciętnie 500 listów tygodniowo z zapytaniami w sprawach wiary katolickiej. W ciągu 10 lat od 1939 roku rozesłano bezpłatnie więcej niż 8.000.000 egzemplarzy odczytów radiowych, omawiających sprawy katolickie.

Lecz te i podobne akcje są, mimo wszystko, tylko propagandą katolicyzmu i walką z uprzedzeniami przeciw niemu. Mogą stworzyć dobrą, życzliwą atmosferę, wykorzenić ten czy inny przesąd, ale nie dokonają tego, o co głównie chodzi: nawrócenia, które musi być poprzedzone systematycznym nauczaniem zasad wiary. Słynna zasada „nie z duszą o Bogu, ale z Bogiem o duszy" jest napewno trudno dostępna umysłowości amerykańskiej, nastawionej na statystyczne widoczny sukces także i w dziedzinie tak zdawało by się osobistej, jak zmiana wyznania i wejście do Kościoła. W ostatnich latach więc przystąpili do czegoś, co można by — pewno, że drastycznie, ale za to z „barwą lokalną" — nazwać *seryjną produkcją konwersji*. Nie tylko przystąpili, ale zbadali na wszystkie strony, opisali i wyraziście przedstawili *technikę* kolektywnego *Convert Making'u*. Taki, nawiasem mówiąc, ma tytuł praca w wydanym przez J. A. O'Briena z uniwersytetu Notre Dame — tomie *Symposium on Convert Making*, a napisana przez jezuitę W. J. Grace'a, wieloletniego pracownika na polu konwersyj i ich badania: *Techniques For Convert Making*.

Od lat 30 zbierane doświadczenia wykazały wyższość metody i techniki zbiorowego nauczania i dokonywania konwersji nad metodą indywidualną. Ta t. zw. *the Inquiry Class Method*, co jest sprawą dla amerykańskich pojęć wielkiej wagi, oszczędza kapłanowi wiele czasu, pozwalając równocześnie osiągnąć znacznie większe rezultaty, których by nigdy nie miał, posługując się metodą indywidualną, mimo niezaprzeczalnych korzyści także tej ostatniej. Jak stwierdza W. J. Grace T. J. wystarczą kapłanowi dla prowadzenia grupy zbiorowej 2 godziny tygodniowo przez najwyżej 3 miesiące. Ma do dyspozycji już opracowane, a potrzebne wszystkie teksty, broszury, wykresy. Jako kapłan posiada dostateczną znajomość przedmiotu, nieraz bowiem przedtem zdarzało mu się prowadzić do Kościoła pojedyńczego katechumena. A jest równie łatwo mówić do jednej jak i do stu osób. Przy swych zajęciach parafialnych nigdy by ksiądz nie znalazł czasu na nauczanie indywidualne choćby 15 katechumenów, gdy zbiorowo może nauczać, i nauczyć, zasad wiary kilkakrotnie większą grupę i w ciągu 12 tygodni doprowadzić ją do wyznania wiary. Ponadto, zmuszony stawać przed znacznym audytorium, przygotowuje się starannie, dba o to, aby lekcje były interesujące i przyniosły jak największą korzyść słuchaczom. Ci znowu czują się znacznie swobodniej w zbiorowości. Każdy naocznie widzi nie tylko, że nie jest sam, ale że znajduje się w jednym z oddziałków wielkiej armii idącej ku Prawdzie. Wytwarza się więc entuzjazm wspólnoty, entuzjazm zdecydowanego, jawnego marszu ku Bogu, a nie przyćmiona niepewność nocnej wizyty zastraszonego Nikodema. A jeśli ktoś tego zechce — jak jawnie przyszedł, tak jawnie może odejść.

Skuteczność techniki kolektywnego nauczania zbadana została zarówno w środowiskach uniwersyteckich i na poziomie uniwersytecki jak i w największej metropolii murzyńskiej świata, wśród nędzarzy, bezrobotnych i potencjalnych bezrobotnych: w liczącym 350.000 murzynów nowojorskim Harlem. W jednej tylko parafii tej straszliwej dzielnicy (u św. Karola Boromeusza), X. W. R. Mc Cann metodą zbiorowego nauczania i zbiorowych konwersyj w ciągu 16 lat od 1933 - 1949 doprowadził do Kościoła 8.000 osób, przeważnie dorosłych. Na 1.100 nawróceń w New Yorku np. w r. 1946 — 500 przypadało na tę właśnie parafię. — A trwałość nawróceń, osiąganych tą metodą? Na zbadanych w 1936 roku 274 nawróconych, w ciągu 16 miesięcy odpadło zaledwie 8, a 266 uczęszczało regularnie na Mszę św. Trzeba dodać, że z tej liczby 266 osób — niemal wszystkie (bo z wyjątkiem trojga), codziennie przystępowały do Komunii św. Przykład bardzo wymowny. Ostatecznie, stwierdźmy to: — owa „amerykańska" metoda zbiorowego nauczania i „technika" zbiorowych konwersji jest tylko... powrotem do sposobu starego jak chrześcijaństwo. Nic więc dziwnego, że przy pomocy Łaski jest tak skuteczna. Jest jednak rzeczą wysoce znamienną, że trzeba po nią sięgać, jako po bardzo owocną, w kraju tak nowoczesnym jak Stany.

A teraz pytanie wagi bardziej ogólnej i podstawowej: *motywy* tak licznych nawróceń w Stanach.

W odpowiedzi, w sugerowaniu częściowej przynajmniej odpowiedzi, można by przytoczyć, co na ten temat mówią sami konwertyci, jak oto w znanym wydawnictwie *The Road to Damascus*, którego drugi tom niedawno wyszedł w Londynie, lub w głośnej publikacji amerykańskiej *Where I Found Christ?* Ale, jak wiadomo, nie ma dwu nawróceń jednakowych, przytem wypowiedzi we wspomnianych wydawnictwach pochodzą od osobistości znanych całemu światu, pisarzy, publicystów, filozofów. Tymczasem fala nawróceń w USA ogarnia, jak wiemy, wszystkie warstwy i rodzaje ludzi. Możemy więc dowiedzieć się o powodach tak, pozornie, nie wiele znaczących, jak chęć wyznawania tej samej religii, co adorowana przyjaciółka (jak się zwierza pewna prosta konwertytka), narzeczony, żona, mąż. Wielu podaje jako powód konwersji doznanie aktu chrześcijańskiej miłości, jak w wypadku Klary Booth Luce, znanej pisarki, żony wpływowego wydawcy „Life" i „Fortune", którą do katolicyzmu zaprowadził list pewnego kapłana z wyrazami współczucia dla niej po śmierci jej siostry. Inni trafili do Kościoła poprzez zachwyt liturgią etc.; dla innych było to znowu uwieńczenie wieloletnich, jakże nieraz bolesnych poszukiwań za Prawdą.

Mimo, że motywy są jak najróżniejsze — powtórzymy za O. Hardon cytat z książki ekonomisty John Moody'ego, który wyraża to, co uświadomione lub nie, istnieje jako najpowszechniejszy powód w dzisiejszych czasach:

„Wielki Kościół-Matka wiary chrześcijańskiej dał mi nieocenione błogosławieństwo doskonałego pokoju. Gdzie wpierw było zwątpienie, ta Matka przyniosła mi pewność. Gdzie wszystko było chaosem i zamieszaniem, wprowadziła ład. Gdzie był tylko cień, teraz znajduję stałość, a ciemności stały się światłem słonecznym".

Głośny był przed paru laty artykuł Doroty Thompson p. t. „Nawrócenia". Zastanawiając się nad przyczynami tak licznych nawróceń na katolicyzm w Stanach Zjednoczonych pisze, że chociaż „rozumie niektóre aspekty tego zjawiska", uwagi swoje czyni jako protestantka „wierna wierze przodków". Twierdzi, że wielu Amerykanów „znajduje w starej katolickiej wierze schronienie tak, jak człowiek w bolesnej rozterce znajduje obronę w domu, w objęciach matki".

„Faszyzm i komunizm są zwrócone przeciw liberalizmowi XIX wieku i oba, do pewnego stopnia, są wyrazem tego samego deterministycznego stanu ducha. (...) Człowiek (...) jest tak samotny, jak rzadko był, mimo, że pragnie społeczeństwa bardziej, niż pragnął go kiedykolwiek. Mówiąc metaforycznie, człowiek jest wyrzucony nazewnątrz, jest bezdomny, zalomiony.

Ale istnieje społeczność ponad i pozanarodowa i ponadekonomiczna, jedność z różności, dom otwarty dla biednych i dla bogatych, dla pracobiorców i pracodawców, dla świętych i dla grzeszników; posiadający władzę istniejącą od dwu tysięcy lat, oczyszczający zepsutych; który ostrzega dyktatorów i królów, mówi wszystkimi językami, świadomy znikomości chwały; który daje schron duszy i zmysłom, żądający dyscypliny i utrzymujący ją bez broni, bez policji i obozów koncentracyjnych, który przyjmuje Żydów i pogan, niewolników i wolnych w imieniu i na służbę Księcia Pokoju, w pokorze i braterstwie: Dom Syna Bożego, przed którego symbolem i duchem sam Papież klęka"..

„Religie nieobjawione zwiodły i zawiodły człowieka i zostawiły indywidualnie i społecznie zrozpaczonym, podczas gdy organizacje — owszem, czynią go zorganizowanym ale zostawiają samotnym, a jego dusza znękana i strwożona szuka przez otaczające ciemności — promienia dobroczynnego światła".

Kościół wprowadza w samo źródło światła; jest „miastem na górze uczynionym". Dlatego pociąga i przyciąga.

**Jan Tokarski**

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

# HISTORIA DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

WŁAŚCIWOŚCIĄ naszego wieku są wojny *światowe*. W przeszłości mieliśmy wojny perskie, punickie, germańskie, francuskie (wojna stuletnia), włoskie („Sacco di Roma"), niemieckie (wojna trzydziestoletnia), wojny sukcesyjne hiszpańskie, polską i austriacką, wojnę północno - amerykańską, kampanie Napoleona: od Włoch i Egiptu do Rosji i Francji, a potem wojna krymska, austriacko-prusko-francuska, i tak aż do naszych czasów poprzez wojnę rosyjsko-japońską i wojny bałkańskie. Wiele z tych wojen zasięgiem swoim wykraczało poza swój teatr nominalny, osiągając charakter wojen mniej lub więcej powszechnych pomiędzy głównymi państwami oraz ich protegowanymi, nie wciągały one jednak do konfliktu *całego* świata, czy tego, co w dawnym okresie było światem cywilizowanym. Pierwsza wojna światowa zaczęła się jako *wojna europejska* i pod tą nazwą, pomimo, że miała od samego początku swoje poboczne teatry pozaeuropejskie, na Bliskim Wschodzie i w Afryce (kolonie niemieckie), podobnie jak to było i w poprzednich wojnach europejskich, w XVIII w. i za Napoleona. Wojna ta stała się *światową od chwili interwencji Stanów Zjednoczonych*, jakkolwiek głównym teatrem wojny w dalszym ciągu pozostała Europa. Nade wszystko jednak, wojna z r. 1914 przeszła do historii jako wojna *światowa* przez swoje ogólno-światowe skutki, przez to, że w jej rezultacie hegemonia polityczna i gospodarcza Europy została zachwiana, a z nią skończyło się pojęcie „*równowagi europejskiej*", rozpoczął się nowy okres, „*jednego świata*".

*Druga wojna światowa* w swoim przebiegu oraz w zupełnie decydującej roli mocarstw poza-europejskich, do których dzisiaj zaliczać należy także Rosję, była potwierdzeniem tej przemiany.

Obie wojny światowe zaczęły się od konfliktów, które jeszcze w XIX wieku mogły być zlokalizowane. Ale jak słusznie zwrócił uwagę Julius Romain w „Ludziach dobrej woli" dawno przed drugą wojną, dzisiejszy system bloków i sojuszy stwarza tego rodzaju powiązania, rozciągające się na cały świat, przy których konflikt wojenny na Bałkanach, na Dalekim Wschodzie i t. d. prowadzi automatycznie do konfliktu powszechnego. W tych warunkach pokój, który według nomeklatury dyplomatycznej XVIII i XIX wieku pojmowany był jako „wypoczynek" mocarstw, nie może być osiągany mechanicznymi środkami poprzedniej epoki, takimi, jak rozbiór słabszych partnerów, aby w sposób proporcjonalny (bez naruszenia „równowagi") zaspokoić apetyty mocniejszych, lub jak bardziej nowoczesna forma tej samej gangsterskiej metody, podziału na „strefy wpływów". Tam gdzie są dwa bloki, choćby jeden z nich tylko był agresywny, nie może być mowy o „wypoczynku" i o pokoju, a to tymbardziej, jeśli oba bloki mają wyłącznie cele egoistyczne. *Nie można w sposób trwały uratować demokracji w Ameryce i wschodniej Europie, jeśli reszta świata wydana zostaje w ręce „totalitarnej oligarchii" sowieckiej.* Nie pozwala na to niepodzielność naszego świata i niepodzielność idej. Przewidział ją Napoleon przed śmiercią, mówiąc, *że za sto lat Europa będzie „albo rewolucyjna, albo kozacka"*. Przez „rewolucyjność" rozumiał ideje rewolucji francuskiej, zatem demokrację.

Przywódcy zachodni w drugiej wojnie światowej dowiedli, że nie rozumieli tej oczywistości i że myśl ich nie wybiegała naprawdę poza najbliższy cel gry militarnej, tak jakby nic się nie zmieniło w świecie od czasu „*Je fais la guerre*" *Clemenceau'a*. Od zakończenia wojny wyszły pamiętniki rozmaitych wybitnych polityków i generałów alianckich, w ich rzędzie pamiętniki Churchilla i Eisenhowera („Crusade in Europe" pierwszy raz wydane w r. 1948), które zawierają niezliczone przykłady tej krótkowzroczności, a zarazem świadczą, że błędów swoich *jeszcze dotąd nie chcą uznać*. Zaczynają się też jednak pojawiać i głosy krytyczne po obu stronach Oceanu, coraz surowiej oceniające politykę zachodnich mocarstw w czasie wojny i zaraz po wojnie, m.in. głosy wybitnych osobistości, jak *lord Hankey w Anglii*, a w Ameryce ambasador *Bullitt* oraz niedawny ambasador w Warszawie, *Bliss-Lane*. Wśród głosów tych warto zwrócić uwagę na ogłoszoną w Anglii świeżo książkę „*Krótka historia drugiej wojny światowej oraz jej znaczenie społeczne i polityczne*" (‚Strategicus' A short History of the Second World War & its Social and Political Significance. London 1950). Autorem książki jest znany komentator wojenny i publicysta pod pseudonimem ‚Strategicus'*), który w czasie wojny wydał osiem tomów historycznych komentarzy poszczególnych faz działań na wszystkich frontach, obecnie zaś wystąpił z syntetycznym, pogłębionym studium.

Przede wszystkim zaczyna on od rewizji panujących w Anglii przed wojną poglądów na temat „*niedoskonałości" traktatu wersalskiego*, jako źródła wszystkich niedomagań późniejszego systemu politycznego i wskazuje na całkowitą błędność popularnych w swoim czasie tez Keynes'a o ekonomicznych konsekwencjach tego traktatu: „*Nie można dłużej utrzymywać, że Niemcy nie mogły zapłacić*, albo, że nie mogły zapłacić bez wyrządzenia szkody swoim wierzycielom". Można z drugiej strony stwierdzić z całą pewnością, „że układ bardziej umiarkowany nie przyniósłby lepszych skutków, niż twarde postanowienia, które zresztą nigdy nie zostały wykonane". Zdaniem ‚Strategicusa' przegrana Niemiec z r. 1918 zahamowała ambicje bardzo głęboko zakorzenione i przyjęta została przez opinię niemiecką tylko jako „epizod w historycznym kierunku rozwoju", po linii tych ambicyj. Powodzenie zaś Hitlera pochodziło stąd, że stał się „wyrazicielem urazów goryczy, istniejących w umysłach większości Niemców".

Omawiając poszczególne etapy „drugiej wojny", poddaje ‚Strategicus' surowej ocenie *bardziej niż strategię, politykę wojenną Aliantów*, na tle głębszych przesłanek moralno-politycznych. Zarzut jaki można by mu przy tym postawić, to tylko jawna jednostronność z jaką błędy widzi najczęściej u innych, Francuzów i Amerykanów, tak jakgdyby Anglia była tylko biernym partnerem.

‚Strategicus' wskazuje, że istotną tragedią Polski w czasie *Kampanii Wrześniowej*, była jej konieczność wytrzymywania naporu wielokrotnie silniejszego napastnika, zanim sojusznicy mogli jej na czas przyjść z pomocą. Przyznaje jednak, że nic nie uczynili, aby stworzyć jakąkolwiek najmniejszą dywersję n.p. w powietrzu i jak twierdzi, Francuzi nawet wyraźnie przeciwko takiej dywersji zabiegali u Anglików, aby uchronić Francję przed represjami *Luftwaffe*. Autor powołuje się też na tezę samych Niemców z okresu procesu norymberskiego, że między październikiem 1939 a wiosną następnego roku, mogli zachodni sojusznicy rozgromić Niemców, nad którymi od końca września mieli czasową przewagę, której nie wykorzystali: "Nawet w obronie sojusznika, nawet dla uchwycenia złotej okazji, która nie miała się powtórzyć, generał Gamelin nie umiał zdobyć się na inicjatywę. Alianci, którzy popełnili wtedy wszelkie błędy, *prócz odwagi i honoru*, mieli za to straszliwie zapłacić w przyszłości" Zawiniła głównie Francja, której względy strategiczne narzucały w stosunku do Niemiec rolę zaczepną. „Francja zawiodła zaś nie z powodu słabości liczbowej lub materiałowej, lecz ponieważ wewnętrzne niesnaski rozbiły jej jedność i sparaliżowały stanowczość w obliczu wroga".

Omawiając z kolei *politykę wojenną Anglii, a następnie i Ameryki*, zwraca Strategicus uwagę na zasadniczą odmienność koncepcji tych mocarstw, od koncepcji Niemiec: *Podczas gdy Niemcy swoje cele strategiczne podporządkowali celom politycznym, zachodni alianci czynili na odwrót.*

Ta odwrotność koncepcyj wojennych zaznaczyła się *w stanowisku obu wojujących grup wobec Rosji*. Kiedy Niemcy zdecydowały się na konflikt z Rosją, miały jeszcze niedokończoną walkę z Wielką Brytanią, będącą w tym czasie niemal u kresu sił, po stratach na froncie europejskim, a zwłaszcza szkodach wyrządzonych brytyjskiej *flocie handlowej i wobec wyczerpującej walki powietrznej.*" Z końcem czerwca (1941) 1.738 statków brytyjskich, alianckich i neutralnych o ogólnym tonażu 7.118.112 było zatopionych, zaś wśród tej liczby było 1.028 statków handlowych brytyjskich o tonażu 4.605.132. Również ła niezmierne zniszczenie". W tym to właśnie momencie, kiedy jednocześnie upadek Jugosławii i Grecji zacisnęły pierścień niemiecko-włoski nad Morzem Śródziemnym, *zastępca Hitlera Rudolf Hess" wylądował w Szkocji...* oraz przywiózł wiadomość o przygotowywanym ataku (przeciw Rosji), w przekonaniu, że rząd brytyjski może być zmuszony do przyjęcia „*rozsądnego pokoju*", który Hitler był gotów zaofiarować.

Ten zwrot w polityce wojennej Niemiec był logiczny z ich punktu widzenia. Przecież — mówi ‚Strategicus' — w układach zawartych w roku 1939 zgodziły się Niemcy *tylko na „strefy wpływów"* dla Rosji w krajach bałtyckich lub na Bałkanach, nie *zaś na aneksje tych krajów*. W 1940 postawiła Rosja swego niemieckiego partnera wobec szeregu faktów dokonanych, zaś Mołotow w czasie wizyty berlińskiej z końca tego roku doprowadził do pasji Hitlera, wysuwając nie tylko żądania nowych „stref wpływów" w Bułgarii i Dardanelach, ale i podnosząc pretensje do udziału „*w podziale gigantycznego światowego państwa Wielkiej Brytanii w stanie bankructwa*". W tym momencie, wobec groźby „*trzeciego wygrywającego*" bez jednego wystrzału i bez jednej ofiary partnera niebezpiecznego i nienawistnego, powstał projekt wojny z Rosją, choćby za cenę „honorowego pokoju" z mniej nienawistną Anglią.

Mocarstwa anglososkie przejęte tylko jedną myślą pokonania hitlerowskich Niemiec, celowi temu podporządkowały wszystkie inne względy. W rezultacie przyznały one Rosji za pomoc wojenną to wszystko, czego przedtem odmówiły Niemcom. Karta Atlantycka i rozmaite inne piękne przyrzeczenia, to były tylko gesty, głównym zaś dążeniem stała się „*bezwarunkowa kapitulacja" przeciwników.*

Za winy te i błędy czyni ‚Strategicus' odpowiedzialnym głównie Roosevelta i jego współpracowników, którzy m.in. odrzucili brytyjski *plan inwazji Europy od strony Bałkanów*, strategicznie może bardziej uciążliwy niż plan amerykański, ostatecznie przyjęty („Overlord"), ale politycznie bez porównania korzystniejszy i *mogący powstrzymać zakusy Rosji.* Stalin nie życzył sobie mieszania się Aliantów do Bałkanów. Uparte pretensje Rosji na tym terenie... były tą kroplą, która przeważyła w zamiarach Hitlera na rzecz marszu na Sowiety. Natomiast w umyśle amerykańskim *nie pojawiło się żadne podejrzenie* co do dalszych motywów Rosji; zaś Departament Wojny miał satysfakcję z ostatecznego przyjęcia jego planów, nie troszcząc się wcale o motywy Rosji. „Wiemy jednak, że po stronie brytyjskiej nie było wielkiego oporu, co jest widoczne z pamiętników Eisenhowera („Crusade in Europe"). Potwierdza to zresztą życzliwy Churchillowi ‚Strategicus', zaznaczając, że „w Teheranie... *Stalin nie miał trudności w wyperswadowaniu Churchillowi ubocznych myśli o Bałkanach*".

W imię pierwszeństwa względów strategicznych i krótkowzrocznej polityki wojennej „jedności aliantów" za wszelką cenę, została nie tylko zaniechana akcja na Bałkany, ale również celowo powstrzymany *pochód poprzez półwysep apeniński* na północ, który miał prowadzić w kierunku na Wiedeń, do samego serca Europy, po starym szlaku napoleońskim. Plan ten został zmieniony i część armii Alexandra poszła na front zachodni, aby „oswobodzenie" Austrii, Węgier i Czech pozostawić armiom sowieckim, z wszystkimi konsekwencjami politycznymi.

Tak samo później zatrzymany został *pochód zachodnich sojuszników na Berlin*. Eisenhower w swoim raporcie szefów wspólnego sztabu tłumaczył, że wolał uderzenie po linii Kassel, Erfurt, Lipsk, Drezno, niż centralne uderzenie na Berlin, ponieważ „Berlin nie był już odtąd obiektem wojskowym o zasadniczym znaczeniu... *Względy wojskowe, kiedy nieprzyjaciel był na krawędzi ostatecznej przegranej, były w moich oczach ważniejsze, niż względy polityczne, związane z zajęciem przez Sprzymierzonych stolicy...*" Eisenhower widział w swojej decyzji nie więcej, jak pokrzyżowanie polityczne prestiżowych ambicyj Churchilla i Imperium Brytyjskiego, aby „mieć swe wojska w Berlinie przed Rosjanami"! ‚Strategicus' dostrzega za Eisenhowerem Roosevelta, jako współautora tej decyzji, i uważa: "Jest to najbardziej zdumiewające wydarzenie tych zdumiewających dni, *kiedy stare zasady były codziennie zastępowane nowymi*, że Eisenhower mógł być najwidoczniej ślepy na potrzebę zabezpieczenia tak cennego zastawu i że p. Roosevelt mógł wypowiedzieć swoje ostateczne ‚Nie'... Jeżeli się to uwzględni, *to trzeba stwierdzić, że p. Roosevelt, który miał już żyć tylko jeden tydzień, był odpowiedzialny za tę nieprawdopodobną decyzję polityczną i że Eisenhowerowi pozostało jej zrealizowanie za pomocą poczynań wojskowych.*

Uwagi te są w pełni usprawiedliwione, ich autor zapomina jednak, że decyzja w sprawie Berlina była częścią i konsekwencją całego systemu „zdumiewających" umów międzysojuszniczych, w których współodpowiedzialność Anglii i Churchilla była całkowita i nie dająca się niczym usprawiedliwić. To co się stało w Europie w r. 1945 było rezultatem *zbiorowej ślepoty a może i podstępnej zdrady, której ofiarami byli czołowi przywódcy narodów anglosaskich przy zawieraniu „nieprawdopodobnych" układów w Teheranie i w Jałcie.*

‚Strategicus' w przeciwieństwie do Eisenhowera (który obecnie został już mianowany na ważne stanowisko naczelnego wodza w Europie na wypadek konfliktu z Rosją) potępia te układy oraz ich skutki. Jest też jednym z nielicznych pisarzy w tym kraju, *którzy nie zamykają rozmyślnie oczu na sprawę Polski*, opuszczonej przez jednych, a przez drugich zdradziecko opanowanej. Daje tego dowód w ustępie poświęconym *Powstaniu Warszawy* oraz rozmyślnej w tym czasie bezczynności armii sowieckiej. Jej pomoc była celowo spóźniona, zaś „lubelski komitet narodowy dodał ostatnią kroplę cynizmu... zarzucając generałowi Komorowskiemu, że był nieobecny w Warszawie w czasie 63 dniowej bitwy i określając bohaterski epizod jako ‚zbrodnicze powstanie'. Ta jego akcja miała służyć celowi Rosji, którym prawdopodobnie było zohydzić Rząd polski oraz siły, które słuchały jego rozkazów; a niestety zachodni Sprzymierzeni *nie umieli wczytać się w morale tej sprawy*".

**Tadeusz Piszczkowski**

*) Właściwe nazwisko H. C. O'Neill, współpracownik „Spectatora" i „Observera".



Z TEKI ARTYSTÓW POLSKICH

*ZYGMUNT TURKIEWICZ: ULICA*

MARIA WINOWSKA

# DROGA

## FRAGMENT POWIEŚCI

(1)

NARESZCIE odważył się zejść na równy, biały trakt. W wątłym jęczmieniu koniki polne cykały sennie. Na ciemnoszafirowym niebie słońce świeciło jak złoty dzban, lejąc ukrop nieznośny. Drzewa stężały w uroczystym skwarze: widać było najwyraźniej, że boli je każdy listek. Spękana ziemia gorzała mnóstwem otwartych ran, czy ust otwartych, jak u śmiertelnie spragnionego? „Niebiosa, **spuśćcie rosę**”! Ale niebo bezlitośnie spływało ołowiem, nie dżdżem. Jak okiem sięgnąć rej wodziło drapieżne słońce, Moloch pożerający własne dzieci, Pan nie życia już, lecz śmierci. Powietrze drgało takim żarem, że przed oczyma zaczęły mu latać czerwone centki.

Otworzył chlebak, dobył dużą, brudną, kraciastą chustkę i owinął nią głowę. Poranione stopy bolały go nieznośnie. Ostatkiem energii zebrał się w sobie, by dalej iść. Był to niebezpieczny szmat drogi, pilnowany przez patrole graniczne. Ale w tej porze spał kto żyw: obowiązywała wszechwładna „siesta”. „*Guardias civiles*”, tak ruchliwi nocą, ulatniali się jak kamfora w południowej porze. Wiedzieli z praktyki, że nawet opryszki i włóczęgi śpią, jak Pan Bóg przykazał. Nocą można nie spać, ale któż w Hiszpanii nie spałby w południe? Istnieje tedy, między zwierzyną i obławą, niepisaną umowa, że od godziny 12 do 3 obopólne zawieszenie broni unieszkodliwia i jednych i drugich.

„*Guardias civiles*” nie wzięli pod uwagę ludzi z północy. Lekkomyślnych i niedoświadczonych w zapasach ze słońcem. Czyż w najgorszy upał nie otwierają oni, o zgrozo, naoścież okien, zamiast zamknąć je szczelnie od samego świtu i okiennicami zabezpieczyć? Mają czelność mówić o przeciągach na przestrzał, gdy powietrze wisi nieruchomo jak dusząca płachta. Co gorzej przechadzają się w południe. . .

Piotr nie idzie na przechadzkę. Całą duszą jest zdania tubylców, że o tej porze powinno się odprawiać siestę. Całą siłą woli trzyma się za munsztuk, żeby nie gruchnąć jak kłoda, na ziemię, pod najbliższym parasolem rachitycznej oliwki. Piotr idzie dlatego, że musi iść, że musi dojść przed nocą. Byle dobrnąć do tych wzgórz zalesionych, które szarzeją na widnokręgu („jakżeż szara jest tu zieleń”, myśli), byle minąć ten płaskowyż łysy jak kolano!

Boli go każdy oddech. Boli go każdy krok. Czerwone centki latają coraz rojniej. Od wczorajszego dnia nie miał w ustach ani kropli wody. Darmo wypatruje potoku czy studni na tym pogorzelisku. Do rzadko rozrzuconych osiedli nie śmie iść. „Byle dotrwać — myśli — byle dojść!”

Przystanął na chwilę, ciężko dysząc. Obejrzał się. Pireneje pruły niebo fioletowym zygzakiem, coraz dalsze, już nie groźne. Ale Piotr wie, co ten zygzak znaczy. Zmierzył się z górami, jak zapaśnik z zapaśnikiem. Cud, że nie uległ: walka była twarda, w pewnym momencie beznadziejna. Położył się wówczas w skalnym żlebie i myślał, że umrze z wyczerpania i głodu. Nagle, pod zamkniętymi powiekami, zjawiła mu się twarz matki. Dla niej wstał, powlókł się dalej, aż trafił na szałas pastuchów czarnych i dzikich, którzy go odkarmili, opatrzyli i sobie tylko wiadomym bezdrożem, nocą, przeprowadzili przez sieć niemieckich patroli, na hiszpańską stronę. Gdy w dowód wdzięczności chciał dać im, co miał: złoty zegarek, starszy gwałtownie zaprotestował kudłatym łbem i powodzią niezrozumiałych słów, z których Piotr wyłowił jedno tylko: „*pobrét*”. Na pożegnanie pastuch dotknął palcem medalika, który Piotr miał na szyi: pamiątkę z Lourdes i powiedział pytającym tonem, najczystszą łaciną: „Ave Maria purissima?” Piotr nie wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko powtórzył żarliwie: „Maria”. Kudłacz roześmiał się, kiwnął głową, coś powiedział i odszedł wspierając się ciężko na kiju. Od tej chwili Piotr nieraz wspominał dziwnego pastucha, który mówił po łacinie.

Pireneje były za nim, daleko, i każdy krok zbliżał go do nowej skalnej przeszkody, zalesionej i bezpiecznej jak schron. Trakt biegł prosto ku górskiemu gniazdu, które świeciło z daleka, niby białe organy. W pewnym miejscu rozwidlała się droga. Drewniana tabliczka wskazywała kierunek na lewo: „Colbató”, 7 km. Piotr podumał chwilę i obrał drogę na lewo: raźniej iść, gdy wie się, dokąd.

Tymczasem słońce czerwoną kulą toczyło się na zachód. Po obu stronach drogi, pnącej się ku górze, zaczęły wyrastać krępe, szarolistne dęby. Budziło się życie po przerwie południowej. Jakiś chłopak minął go, na rowerze, gwiżdżąc, z oddali rozległ się ciężki turkot samochodu, windującego się mozolnie. Piotr uznał, że będzie rozsądnie zejść z gościńca. Trafił na stromą, „kozią” ścieżkę, która mnóstwem skrótów nadrabiała zygzaki traktu. Pod stopami poczuł mech i zeschłe igliwie krzaków, przypominających polską kosodrzewinę. Im wyżej się piął, tym więcej przybywało karłowatych dębów i chudych sosen. Pnie odcinały się twardym konturem na płonącym niebie. Mimo bliskiego zmierzchu upał był nadal nieznośny. Piotr daremnie wypatrywał wokół jakowegoś śladu wody. Minął kilkakrotnie wyschłe łożyska potoków, głęboko wyżłobione w amarantowej glinie. Porwany brzeg świadczył o wiosennych ulewach. Ale od wiosny drapieżne słońce zdążyło wypić wodę: czerwony piach nie był nawet wilgotny.

Noc spadła szybko, jak czarna opończa. Jedna po drugiej wschodziły gwiazdy, dziwnie bliskie i całkiem inne. Piotr szedł coraz wolniej, krok za krokiem. Znów skręcił na trakt, cichy i jakby wymarły. Wreszcie usiadł ciężko na szkarpie, zwiesił głowę i ręce, skulił się w sobie i wyglądał z daleka jak ogromny, nieforemny grzyb.

Nagle, usłyszał kroki. Nie ruszył się nawet. Było mu w tej chwili doskonale obojętne, kto idzie: przyjaciel czy wróg? Pod obolałą czaszką stukały szybko, coraz szybciej, niezliczone młotki.

Były to kroki wolne i ciężkie, ustające co chwila, jak gdyby człowiek, który szedł, dźwigał ciężar nieznośny. Na zakręcie zamajaczył dziwny kształt: ni to wiatrak, ni krzyż. Szedł parę kroków, zatrzymywał się, wzdychał, szedł znów. Gdy niemal zrównał się z Piotrem, ten rozpoznał kobietę niosącą kłodę w kształcie krzyża.

Czy ona pierwsza go spostrzegła? Czy on się poruszył? Skręciła ku szkarpie, stanęła przed nim. Spostrzegł, że jest stara i zrobiło mu się jej serdecznie żal. Zapomniał o własnym zmęczeniu, zerwał się i mruknąwszy jedyne słowo hiszpańskie, jakie znał: „*senora*” próbował zdjąć jej z ramion ciężkie drewno.

Ale staruszka objęła je oburącz i zaczęła wołać głosem cienkim i żałosnym:

— *No, no, no!* Dalszego potoku wartkich słów nie mógł zrozumieć. Stał przed nią zaskoczony i bezradny a ona mówiła, mówiła wciąż. Wreszcie bąknął co umiał po włosku: *non capisco!* Staruszka urwała, przyjrzała mu się bacznie i zanytała z mocnym cudzoziemskim akcentem:

— *Parlez-vous francais?*

Naturalnie rozumiał! Okazało się nagle, że Piotr miał jej wiele, bardzo wiele do powiedzenia. Że od wczoraj nie jadł i nie pił, że nie śmie zbliżać się do ludzkich osiedli, bo nie ma dokumentów; zresztą na nic by się to nie zdało, bo nie ma pieniędzy. Że jest bardzo zmęczony i nie wie sam, co dalej?

Staruszka kiwała głową, trzymając oburącz ciężki drąg, który przecznica uwierał jej kark i wyrastał z ramion jak skrzydła ogromnego ptaka. Westchnęła i powiedziała nieśmiało, łamaną francuszczyzną:

— Mam przy sobie trochę wody a także trochę chleba. Biedny ty! Siadaj, zaraz dam ja tobie, co mam.

Zgięła się jeszcze bardziej w kabłąk, drąg zsunął się na ziemię. Piotr spostrzegł ze zdziwieniem, że był to zwykły, nieociosany bo chropawy w dotknięciu, drewniany krzyż. Staruszka usiadła przy nim na szkarpie i dobyła spod spódnicy czarny worek. Odnięła od pasa skórzany bukłak, podała mu go. Palce jej w mroku przez dobrą chwilę mozoliły się z tasiemką. Wreszcie otworzyła worek, wyjęła podłużny twardy placek, położyła mu na kolanach:

— Jedz, biedniątko, jedz!

Jadł łapczywie, a ona patrzyła, milcząc. Usta jej poruszały się bezdźwięcznie, przesuwała cichutko paciorki różańca. Podłużny cień przemknął drogą, lis czy kot. Gdzieś w pobliżu zawodził puchacz, dziwnym głosem, jak skrzywdzone, płaczące dziecko. Niebo nad nimi było gęsto nabite gwiazdami; zdawały się jaśniejsze i bliższe, niż po tamtej stronie Pirenejów, dziwnie złote, wyraziste i mrugające. Mleczna droga przecinała granatową kopułę, jak biała szarfa.

Piotr mozolił się z bukłakiem, lejąc wprost w usta cienką strugę. Widział kiedyś jak piją chłopi w południowej Francji, sprawnie i prosto, gdy on co raz to się krztusił. Staruszka zaczęła mówić jakby do siebie, śpiewnym głosem:

— Biedne dziecko! *Jezus (Chesus) Sagramentado! Pauvre enfant.* Ani to domu, ani rodziny czarną nocą na bezdrożu, głodne to i zmęczone. Liszki mają jamy i ptaki gniazda, ale ja nie wiem, gdzie skłonić głowę.

Widząc, że skończył, już do niego wprost:

— Nie gniewaj się, synku, że ja ciebie pytam ale wiesz ty, dokąd idziesz? Bo jak nie wiesz, to chodź ze mną. Zaprowadzę ciebie do zacnych ludzi, którzy ci dadzą jeść i pić, lepiej, niż ja. Na rano zajdziemy. Na pierwszą mszę. Już ja tobie dobrze radzę, chodź!

Piotr czuł w żyłach błogosławione ciepło, każde włókienko było w nim aktem dziękczynienia. Pomyślał, że tak musi czuć się zżarty skwarem krzew, po nagłym deszczu. Młotki w skroniach przestały stukać. Chciało mu się okrutnie spać, ale jakżeż odmówić starowinie? Poczuł dla niej bezgraniczną wdzięczność:

— Dobrze, pójdę z Panią, ale pod warunkiem, że poniosę to drewno... (poprawił się) ten krzyż.

— A niechżeż Bóg cię broni, synku! To nie twoja rzecz! Masz ty już swój własny krzyż, choć niewidzialny. Tylko mi go podasz, bo ciężko mi się schylać. Ale poniosę go sama. Grzech by to był, gdybym stchórzyła wpół drogi!

— Stuknięta czy co? — pomyślał Piotr — I głośno:

— W mojej ojczyźnie nie ma takiego zwyczaju, żeby kobiety szły obładowane, a mężczyzna obok z pustymi rękoma.

Staruszka roześmiała się, dziwnie świeżo i dźwięcznie:

— Widać, synku, żeś z dalekich stron i nic nie rozumiesz. Więc Ci powiem: obiecałam Morenecie, że w każdą noc przed pierwszym piątkiem pójdę do niej pieszo, krzyżową drogą. Od dwu lat jestem wierna obietnicy i ty chciałbyś, abym ją dzisiaj złamała?

W głosie jej brzmiało zdziwienie i żal.

— Powiedz mi, synku, przecieś katolik?

Skinął głową, coraz bardziej zaintrygowany:

— A któż to jest Moreneta?

Znowu się roześmiała („Gdybym nie widział jej pomarszczonej twarzy, pomyślałbym, że to dziewczynka”).

— Prawda, skądżeż ty, cudzoziemiec, miałbyć wiedzieć, kim jest nasza Moreneta?

I zniżając głos, jakby mu zwierzała tajemnicę:

— Moreneta, to pani na Montserrat.

(”Niech mnie kule biją, jeżeli rozumiem” — myślał Piotr).

Ale staruszka ciągnęła dalej:

— Jest noc, więc nie widzisz tej drogi, ale gdybyś widział, i gdybyś w i e d z i a ł, kto nią chadzał od tysiąca lat, to byś może szedł nią na kolanach, jak tylu po dziś dzień. Święta to droga, pątniczy szlak, wydeptany przez tysiące pielgrzymów, pokutników i grzeszników, którzy szli odnaleźć duszę. Bo widzisz, synku (wymawiała: „fillet”) na świętą górę nikt nie wchodzi bezkarnie. Widać i tobie coś dolega, skoro przyprowadziła Cię Moreneta. Nie bój się: choćbyś był chory nie wiem jak, napewno wyzdrowiejesz. Mocnaż ona i miła, kwietniowa roza („*rosa d'avril*”)..

Wysoko nad ostrymi wierzchami rozwił się srebrny wachlarz; wschodził spóźniony księżyc. Drobne, pierzaste chmurki błysnęły jak misterna koronka, spłoszone gwiazdy z wielką rewerencją ustąpiły w cień, białym szlakiem wypłynął jak korab, owalny i godny. Zrobiło się, nagle, jasno.

Piotr spojrzał ciekawie na staruszkę. Krzepka była i kiedyś musiała być piękna. Pod pysznymi łukami czarnych brwi gorzały czarne oczy. Włosy miała białe jak mleko, sczesane wtył, wokół ust wygiętych jak do płaczu pełno bolesnych zmarszczek. Biło od niej jakieś dziwne, skupione światło. Ale usta, pomyślał Piotr, mówią co innego niż oczy.

Ona również przypatrywała mu się bacznie. Mówiła francuszczyzną coraz bardziej łamaną, z coraz większą domieszką obcych słów.

— „*Pobra criatura*”, biedne dziecko. Widać zaraz, żeś cudzoziemiec. Mówisz, że nie masz papierów w porządku? Posłuchaj, synku: gdybyśmy tak natknęli się na jakiego „*guardia civil*”, to jabym iwiedziała, żeś ty mój syn i razem idziemy do Morenety, tylko ty nic nie gadaj, zaraz by poznali, żeś nie stąd, i tak wyglądasz całkiem inaczej, niż nasi chłopcy takiś jasnowłosy („*zosset*”) i wysoki! Nie bój się: już ja ciebie nie dam skrzywdzić. Miałam ci ja dwu synów, a nie żyje żaden. . .

Urwała nagle. Ciemne bruzdy wokół ust pogłębiły się, zadrgały. Ale oczy były wciąż pełne światła. Białą, cienką chusteczką otarła twarz (czy łzy). Ręce miała smukłe, drobne i bez jednego pierścionka, nawet bez obrączki.

— No i cóż, syneczku, komu w drogę temu czas? Poczekaj, wstanę sama a ty zadaj mi krzyż. A niech ci nie będzie markotno, że sam nic nie dźwigasz. Może kiedyś ofiarujesz się i ty. Widzisz, synku, lepiej nie zadawać się z Morenetą, jak kto boi się krzyża. Jeszcze wpół drogi, jeżeli się boisz, to lepiej nie idź, mówię ci. Ma ona dla przyjaciół bardzo dziwne sekrety a prezenty daje takie, jak własnemu Synowi; przecież wiesz, że była Mu Ona żywym krzyżem?

Piotr słuchał i było mu coraz bardziej głupio i nieswojo. Ta noc, zmęczenie, natłok wrażeń nadawały wszystkiemu, czego się tknął, charakter obcy i nierealny. Kobieta którą spotkał, wydawała mu się chwilami niespełna rozumu. Czuł dla niej wdzięczność bezbrzeżną, ale nawet nie próbował zrozumieć sensu jej nieporadnych słów. Ogarniało go jakieś błogie otępienie. Cieszył się jak dziecko, że już przecież nie jest sam, że ktoś go prowadzi, wszystko jedno, dokąd? Słowo „Moreneta” powtarzające się bez końca nasuwało mu szereg coraz wdzięczniejszych asocjacji. Był zanadto zmęczony, by zadawać pytania.

Dźwignęła się ciężko. Piotr pomógł jej wstać:

— Ot synku, a teraz podaj mi krzyż.

Przyszła mu nagle myśl genialna:

— Przecież Cyrenejczyka Pan Jezus nie odgonił! Pozwólcież i mnie pomóc wam, mateczko!

Stała, znowu zgięta w kabłąk, choć Piotr trzymał jeszcze w ramionach krzyż. Ciężki był, chropawy, nieociosany, nad siły starej kobiety. Zrobiło mu się jej serdecznie żal:

— Pozwólcie, Moreneta napewno mnie pochwali”.

Słowo-talizman zrobiło swoje.

— Myślisz, synku? Ale czy ty wiesz, co bierzesz na siebie? A nuż Moreneta weźmie cię za słowo? Policz się z własnymi siłami, nim spróbujesz. . .

Ale Piotr nie miał najmniejszej ochoty zagłębiać się w jakieś „mistyczne” rozważania. Był okropnie śpiący. Byle dojść, gdzie popadnie, byle znaleźć kąt, gdzie spać! Pocóż te wszystkie obawy, przeczucia, aluzje, symbole. „Skoro babince tak zależy na tym, żeby donieść krzyż, pomogę jej i basta”. Zarzucił na ramię ciężkie drewno, jak cep.

— Cyrenejczyk — Mateczko — przez dobry kawał drogi sam nosił. Ale możecie podtrzymać, ot tu! Już ja będę szedł powoli, żeby was nie zmęczyć. A daleką jeszcze mamy drogę?

— Oj daleką, synku! Pod górę iść musimy, wciąż pod górę, aż dojdziemy do pustelni świętego Michała, potem na prawo będzie przepaść diabelska i krzyż nad przepaścią, dalej jaskinia świętego Ignacego i wnet zobaczysz klasztor.

Księżyc świecił tak jasno, że widać było piarg pod stopami. Droga była coraz węższa, kamienista, widać mało uczęszczana. Z lewej strony piął się w górę zalesiony stok, najeżony ostrymi kantami, rozrastający się rojem fantastycznych wykuszów, kamienne poszycie obłych, białych, nagich skał, które świeciły z daleka uroczystą ciżbą. Były całkiem niepodobne do gór, jakie znał. Miękkie w zarysie, utoczone jak olbrzymie głowice lub smukłe wrzeciona, niekiedy w kształcie grzybów fantastycznych lub zastygłych wodotrysków nie przypominały niczym Pirenejów czy Alp ani dalekich Tatr. „Góry z filmów Disney'a” pomyślał Piotr i uznał, że porównanie jest trafne. „Góry z bajki: czyżby wiodły w bajkę?”.

Na prawo zapadały coraz głębiej strome, zalesione wykroty aż nagle, na zakręcie, wchłonęła je pionowa przepaść. Widać było jak na dłoni miękko sfalowaną równinę i mrugające światełka rzadkich osiedli. Kontrast między tą stłoczoną gromadą wysokopienną i łagodnym kobiercem pól, rozesłanym u jej stóp, był tak nieoczekiwany i tak gwałtowny, że Piotr zatrzymał się mimowoli i patrzał zdumiony.

— Nie idź tak brzegiem, synku, żeby ci się nie usunął grunt pod nogami. Bywa zimą, że wiatr luty pół drogi oberwie i ludzie ciężko pracują, żeby dziurę załatać. Zeszłej zimy cały miesiąc nie można było jeździć gościńcem, nie tędy, na Monistrol — bo ścięło go, jak nożem, usypisko. Miałki tu kamień, pamięta wodę!

**(Ciąg dalszy nastąpi)**

# O NAJLEPSZYCH KSIĄŻKACH UBIEGŁEGO ROKU

Druga seria odpowiedzi na ankietę „Sunday Timesa” potwierdziła raz jeszcze, jak przemożnie pisarze i w ogóle intelektualiści brytyjscy związani są swymi zainteresowaniami i upodobaniami z historią i kulturą swego kraju.

Lord David Cecil, podobnie jak tylu innych odpowiadających, stawia na pierwszym miejscu diariusz londyński Boswella, na drugim monografię Florence Nightingale pióra Mrs. Woodham—Smith. Autor „English Saga” Arthur Bryant podaje na pierwszym miejscu monografię historyczną A. L. Rowse'a „The England of Elizabeth”, na drugim diariusz Boswella, na trzecim rzecz pułk. A. H. Burne'a „Battlefields of England”.

Wymieniana już parokrotnie w pierwszej serii odpowiedzi „The Kon-Tiki Expedition” Thora Heyerdahla pojawia się znowu u poety Waltera de la Mare i u znanego dyrygenta Sir Malcolma Sargenta — u obu na pierwszym miejscu. Fred Hoyle, znany ze swych odczytów radiowych o budowie wszechświata, stawia „Kon-Tiki Expedition” na drugim miejscu; pierwszeństwo przyznaje monografii Isaaca Newtona, pióra prof. E. N. Andrade'a.

Powieściopisarz katolik, Evelyn Waugh wymienia jako najważniejszą książkę r. 1950 „Enthusiasm” ks. Ronalda Knoxa — książkę, o której pojawieniu się donosiliśmy świeżo w ŻYCIU.

„Observer” z dn. 31 grudnia potraktował zeszłoroczne wydarzenia literackie w nieco inny sposób. Krytyk literacki tego pisma J. Isaacs sam zestawia listę najlepszych, jego zdaniem, powieści i poezji, jakie ukazały się w r. 1950. Przytacza na wstępie słowa laureata nagrody literackiej Nobla (na równi z Bertrandem Russellem), pisarza amerykańskiego Williama Faulknera. Faulkner dostawszy nagrodę powiedział: „Nie ma już zagadnień ducha. Jest tylko jedna kwestia: kiedy zostanę wysadzony w powietrze?” Mimo tak ponurych refleksji produkcja książek w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii była w roku ubiegłym ogromna. W Wielkiej Brytanii ukazało się w tym czasie ogółem 17.000 tomów, w czym 2.000 tomów beletrystyki.

Zdaniem Isaacsa trzy najlepsze powieści r. 1950 są dziełem pisarzy amerykańskich. Na pierwszym miejscu Isaacs wymienia „The Wall” Johna Herseya, powieść o zagładzie ghetta warszawskiego podczas ostatniej wojny. Drugie miejsce zajmuje „Across the River” Ernesta Hemingwaya — rzecz, zdaniem Isaacsa niesłusznie „schlastana” przez krytyków; w Anglii powieści tej bronił Evelyn Waugh. Wreszcie na trzecim miejscu Isaacs stawia „The Roman Spring of Mrs. Stone”, powieść dramaturga Tennessee Williamsa.

Issacs podkreśla, że beletrystyka amerykańska stała się dziś rodzajem odnogi antropologii społecznej. Każda prawie z powieści zajmuje się jakimś przejawem czy zagadnieniem życia społecznego.

W Anglii — zdaniem Isaacsa — pięcioma najlepszymi powieściami roku ubiegłego są: „The Young May Moon” P.H. Newby'ego, „Dead Man Over All” Waltera Allena, „Nothing” Henry Greene'a, „The Boat” L. P. Hartleya i „Insurrection” Liam O'Flaherty'ego.

Spośród twórczości młodszych poetów najwięcej wartości Isaacs przyznaje zbiorkowi Davida Gascoyne'a „A Vagrant”, dalej George'a Barkera „News of the World”, J. H. Stubbsa „The Swarming of the Bees” oraz M. Hamburgera „Flowering Cactus”.

O dwóch wybitnych utworach dramatycznych roku ubiegłego: „The Cocktail Party” T. S. Eliota oraz „Venus Observed” Christophera Fry Isaacs nie wypowiada sądu, zaznaczając tylko, że mogą być zaliczane albo do dramatu, albo do poezji i osądzane bądź z tego, bądź drugiego punktu widzenia.

Ogólnie biorąc klasyfikacja Isaacsa, zarówno jeśli chodzi o powieści, jak utwory poetyckie, nosi charakter dosyć jednostronny i budzić może sporo wątpliwości.

WIT TARNAWSKI

# UCIECZKA OD SEDNA RZECZY

Chociaż Graham Greene, znakomity powieściopisarz katolicki, oświadczył na pewnej konferencji prasowej w Paryżu, że obchodzi go naprawdę tylko twórczość literacka, nie zmieni to faktu, iż świetne filmy „Brighton Rock", „The Fallen Idol", czy „Third Man", w których tworzeniu Greene wybitnie współpracował — przyczyniły się bardziej od powieści do jego światowej już dzisiaj sławy; nie ulega również wątpieniu, że w filmach tych tkwią elementy geniuszu Greene'a, których nie wolno pominąć w ocenie jego twórczości.

Myślę nawet, że w dzisiejszych czasach wszechwładztwa filmu warto wprowadzić na stałe w krytyce literackiej nowy dział: paralele pomiędzy powieściowym, a filmowym ujęciem jakiegoś tematu. Rzuca to objaśniające i ciekawe światło na technikę zarówno powieści jak i filmu, a przede wszystkim daje nowy wgląd w psychikę i w ideologię pisarza, który musi siebie wielostronniej odsłaniać przy takim przestawieniu tematów i idei na odmienny rodzaj techniki artystycznej — o ile pisarz ów, jak Graham Greene, jest nie tylko powieściopisarzem, ale i współtwórcą filmów, wysnutych z jego utworów literackich.

Tutaj pragnę zająć się zestawieniem najsubtelniejszego i bodaj że najgłębszego z filmów Greene'a „The Fallen Idol" („Upadły bożek") z jego nowelą, na której film ten został oparty — p. t. „The Basement Room" („Pokój w suterynie"). Warto wspomnieć, że właśnie ta nowela ukazała się teraz u Heinemana pod nowym tytułem „The Fallen Idol" przyjętym już od filmu — w jednym tomie z inną sfilmowaną opowieścią Greene'a — „The Third Man".

Opowiadanie „Pokój w suterynie" można by także nazwać „Ucieczką od życia". Jest to historia małego chłopca, którego pierwsze poważniejsze zetknięcie się z życiem ludzi dojrzałych, pierwsze wplątanie w krąg ich dramatycznych grzechów i pasji, tak przeraża i odstrasza, że chłopak odcina się brutalnie i gwałtownie od tego dorosłego życia, rezygnując nawet z przyjaźni domowego sługi, którą cenił zdawało się nade wszystko — odcina się raz na zawsze, by potem już do końca swoich sześćdziesięciu lat nigdy naprawdę do pełnego życia nie wrócić. Możemy sobie wyobrazić, że z małego Fila wyrośnie kiedyś Axel Heyst ze „Zwycięstwa" Conrada, mniej tylko dojrzały i bardziej neurotyczny, w swojej życiowej nieufności.

Nie jedyna to nić łączna pomiędzy tymi dwoma poetami zagadnień sumienia. Greene jak Conrad jest pisarzem prześladowanym przez motywy osobiste, które stale powracają w dziełach obu pisarzy. Historia małego Fila wydaje się również odbiciem własnego urazu życiowego Greene'a. Fil ucieka przed litością, przed związaniem swych uczuć, przed ryzykowną ciekawością życia — jak gdyby w zarodku przeczuł czym mu dalsze życie grozi. Po pierwszym i bynajmniej jeszcze nie tragicznym dlań doświadczeniu, które jego samego właściwie nie dotyka, nie boli bezpośrednio, a wciąga tylko w nurt cudzego dramatu, Fil odwraca się z miejsca w przerażeniu, w jakiejś neurotycznej przeczulicy, przeczuwając, jak rzekłem, grozę i odpowiedzialności dorosłego życia, raczej niźli ich doświadczając. „That was life; that was what happened when you loved: you got involved; and Philip extricated himself from life, from love, from Baines with a merciless egotism" — brzmi znamienny cytat z tej opowieści.

Wiemy choćby z „Sedna rzeczy", że nierozerwalne związanie z ludzkim cierpieniem, że zadręczająca litość, to zasadnicze motywy twórczości i psychiki Greene'a. W „Upadłym bożku" możemy oglądać raczej odwrotną stronę rzeczy. Łatwo zrozumieć zresztą, że negatywem przewrażliwionej uczuciowości Greene'a musi być lęk i niechęć do życia, aż po jego nienawiść — do życia, które za dużo kosztuje, za które trzeba płacić nieustanną udręką uczuć i sumienia. I wyrazem tego lęku, obrzydzenia i chęci ucieczki od życia — równoczesnych w duszy pisarza z urzeczeniem litości — jest to świetne opowiadanie.

Ale litosne spojrzenie na wszystko co żyje nie opuszcza Greene'a i tutaj. Jedną z wybitnych i szczególnie sugestywnych cech tej ponurej opowieści jest współczujące i wyrozumiałe spojrzenie na wszystkich jej bohaterów, nawet na obmierzłą panią Baines, której nie tylko okrucieństwo, ale i nieszczęsność („misery") pisarz bardzo mocno podkreśla. „Wszyscyśmy biedni" — zdaje się Greene mówić o niej tymi samymi słowy, którymi zamyka później „Trzeciego człowieka". A wiadomo, że tragizm życia i jego konfliktów rośnie do kwadratu, gdy właściwie nikt nie jest naprawdę winien.

„Pokój w suterynie", choć jest tylko nowelą na 32 stronach, pasuje Greene'a na wielkiego pisarza, nie mniej od jego mistrzowsko zbudowanych powieści. Wykazuje orli pazur, sięgnięcie życiu do trzewi jednym chwytem. Prosta, zwięzła i pozbawiona zewnętrznych efektów historia dziecka potrafi urzec i porwać swoją wewnętrzną grozą — o metafizycznym niemal posmaku.

Różnice między filmem, a opowieścią są znaczne i bardzo istotne i to jest także typowe dla bogatej wyobraźni i uczuciowości Greene'a — który potrafi oglądać te same sytuacje z wielu stron i wysnuwać z nich odmienne zagadnienia. Przypominamy pokrótce treść filmu („The Fallen Idol"). Jest tam sytuacja ta sama co w noweli: mały Fil zostawiony przez rodziców na opiece butlera Bainesa, romans tegoż Bainesa z młodą dziewczyną, starsza zazdrosna żona, która wraca niespodziewanie, by zaskoczyć romansującą parę, jej tragiczny zgon w oczach przerażonego dziecka itp.; ale dramat Fila nie wynika tutaj, jak w noweli, z powodów przede wszystkim wewnętrznych, z neurotycznej obawy przed tajemniczą grozą życia (co zresztą na filmie byłoby znacznie trudniej ukazać i uprawdopodobnić); dramat rodzi się dopiero z powikłań, jakie normalnemu, choć wrażliwemu dziecku gotuje z e w n ę t r z n e życie. Przyjaźń z kamerdynerem Bainesem, której Filip chce dochować jak najwierniej, wciąga go w krąg kłamstw, krętactw i fałszywych świadectw, narzuconych mu przez zaplątanego w trudną sytuację starszego przyjaciela, tak że dziecko zatraca w końcu pojęcie co właściwie jest prawdą. Fil, gdy każą mu wreszcie mówić samą prawdę, by ratować Bainesa przez jej ujawnienie — nie wie już co jest prawdą, której go oduczono i w najlepszej intencji sypie przyjaciela dalej.

O ile dotąd różnice dotyczyły raczej sensu zdarzeń niż ich przebiegu, zakończenie filmu odbiega od noweli, także w fabule. Gdy w opowieści Baines istotnie strącił ze schodów zazdrosną żonę, a Fil demaskuje go potem przed policją — film kończy się w pewnym sensie happy endem: okazuje się bowiem, że pani Baines uległa wypadkowi sama, a Fil, choć zaplątany w gąszczu lojalnych kłamstw, powinien podnieść się z urazu szybko, jako dziecko normalne.

Tak więc historia Fila w noweli — to dzieje indywidualne i raczej wyjątkowe, analiza duszy przewrażliwionego dziecka, która odsłania również indywidualny stosunek autora do życia. Natomiast filmowe dzieje Fila to obraz stosunku prostej i szczerej duszy dziecinnej do powikłanego, pełnego kłamstw i kruczków życia dorosłych, obraz wzajemnego oddziaływania na siebie tych dwóch krańcowo odmiennych światów, a przy tym nie tylko dramat dziecka wciągniętego w dramat dorosłych, ale i kompromitacja krętego i niedobrego życia tych dorosłych w czystym i uczciwym zwierciadle duszy dziecinnej. Jest w tym filmie coś z dramatu „Idioty" Dostojewskiego, gdzie naiwny Myszkin także doprowadza do absurdu uczciwością i prostotą swoich ujęć — krętactwa i pasje otoczenia.

Przechodzę do określenia różnic: Film — choć płytszy psychologicznie — jest bardziej widzialny, ogólno-ludzki i zobiektyzowany w postawieniu sytuacji i problemu; ukazuje jasno i wyraziście typowe przeciwieństwa natur ludzkich i okresów naszego życia, co stanowi sugestywną podstawę do wysnucia wniosków moralnych. Problem noweli jest raczej psychologiczny, niż moralny, jest wyraźnie indywidualny i mało nadaje się do uogólnień; zdradza przy tym piętno psychiki samego autora.

Różnice te odpowiadają ściśle zakresowi artystycznemu powieści i filmu jako rodzaju. Film przemawia przede wszystkim obrazami, prostymi cechami psychicznymi i moralnymi, ma skłonność do typizowania. Powieść raczej analizuje, wybiera cechy indywidualne i rozcina zagadnienia moralne na szerokość włosa. Jak widzimy, Greene powieściopisarz potrafił przestawić się kongenialnie na inny rodzaj sztuki, przy czym nie tylko nie utracił nic z walorów literackich, ale wprowadził szereg świeżych elementów, odpowiadających dokładnie cechom specyficznym, jakie odróżniają film od literatury. Świadczy to, że mamy do czynienia z talentem iście renesansowym, który jak jakiś Da Vinci dwudziestego wieku wypowiada się z równą łatwością i siłą w różnych dziedzinach sztuki.

**Wit Tarnawski**

PRZECIW EGZYSTENCJALIZMOWI

# SARTRE POD OBSTRZAŁEM

Ostatnia książka Sartre'a poświęcona istocie i celom twórczości literackiej (ukazała się ona niedawno w przekładzie angielskim pt. „*What is Literature?*"), wywołała żywą dyskusję po obu stronach Kanału, — przy czym, rzecz ciekawa, przeważają głosy nieprzychylne dla tez przywódcy egzystencjalistów. Między innymi rozprawia się z tymi tezami autor artykułu wstępnego w „*Times Literary Supplement*" z d. 15 grudnia r. ub.; w myśl przyjętego w tym piśmie zwyczaju, artykuł nie jest podpisany.

Autor artykułu stwierdza najpierw, że Sartre wcale nie odpowiada na pytanie, postawione w tytule książki. Ludzie wynaleźli sztukę pisania niewątpliwie dla celów bezpośrednio utylitarnych — sztuka ta jednak od bardzo dawna używana jest także dla celów innych, często niezwykłych i trudnych do zrozumienia. Sartre co prawda w miejsce pytania: „Czym jest pisanie?" stawia zagadnienie węższe w swym zakresie: „czym jest literatura?". ale i na nie nie daje odpowiedzi zadawalającej.

„Pisarz prozą — mówi Sartre — jest człowiekiem, który obrał pewną metodę działania pobocznego: nazwać je możemy działaniem przez wyjawianie". „Celem sztuki — mówi w innym miejscu — jest odzyskanie tego świata przez przedstawianie go w taki sposób, by widziany był takim, jakim jest, lecz tak, jak gdyby źródło swe miał w wolności ludzkiej".

Określenie powyższe — dodajmy tu od siebie — warto zestawić z definicją sztuki, jaką dał Conrad-Korzeniowski. „Sztuka — mówił on — może być określona jako rzetelna próba wymierzenia najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu przez wydobycie na światło prawdy, wielorakiej i jedynej, która leży u podstaw każdego aspektu tego świata. Jest to próba znalezienia w jego kształtach, jego kolorach, jego świetle, jego cieniach, w aspektach materii i faktach życia tego, co w tym wszystkim jest podstawowe, co jest trwałe i zasadnicze — ich wartości jedynie oświecającej i przekonywającej — samej prawdy ich bytu".

Różnica między definicjami Conrada a Sartre'a płynie z różnicy ich poglądów na zagadnienia podstawowe. Dla Conrada — choć nie był nigdy świadomym w pełni chrześcijaninem — istnieje prawda obiektywna, prawda, jak wynika z całej jego twórczości pisarskiej, duchowa. Sartre natomiast zakłada jako jedyną podstawową prawdę „wolność ludzką", tj. wolność dokonywania przez człowieka wyboru. Autor artykułu w „*Times Literary Supplement*" wypowiada się wyraźnie przeciw Sartre'owi, a za conradowskim punktem widzenia, choć zresztą na Conrada nigdzie się nie powołuje.

Na Sartre'a uderza najpierw z innej strony, zaczepiając jego twierdzenie, że „sztuka prozy pisarskiej związana jest z jedynym reżymem, w którym proza ma znaczenie, — z demokracją". Zdaniem autora artykułu twierdzenie to nie jest zgodne z doświadczeniem historycznym. Być może, że proza rozkwita najlepiej pod systemem demokratycznym, jest jednak faktem historycznym — wszystko jedno czy to był przypadek czy nie —, że przeważająca część twórczości prozaicznej świata pochodzi od pisarzy, którzy żyli pod innymi formami rządów. Sartre nie zaprzecza temu i usiłuje fakt ten tłumaczyć. Pisarze wieków średnich — jego zdaniem — szukali schronienia w problemach tamtego świata, skoro ich epoka nie zdolna była poradzić sobie z zagadnieniami tego świata. Pisarze wieku siedemnastego byli dworakami, tylko przypadkowo krytykującymi stosunki społeczne. Pisarze wieku osiemnastego toczyli bitwę o wolność, choć przy tym nie wiedzieli, że stwarzają w burżuazji nowego pana równie tyrańskiego, jak ten, którego obalili. Pisarze burżuazyjnego wieku dziewiętnastego uciekali od swej impotencji w sferę „czystej sztuki", surrealiści szukali schronienia w niszczeniu i tak dalej. Sformułowania te — zdaniem autora artykułu — mogą być słuszne, nie zmieniają one jednak faktu, że pisarze ci pisali i tworzyli wybitne dzieła.

Autor artykułu ma zapewne słuszność, nasuwa się tu jednak zastrzeżenie współcześnie bardzo doniosłe: czy możliwa jest wielka twórczość pisarska w totalistycznym systemie rządów typu sowieckiego? Jak dotąd, wydaje się to mało prawdopodobne, chyba że system ten uległby bardzo znacznym przemianom. Byłoby rzeczą interesującą wiedzieć, czy nawet pod takimi rządami nie powstają w tajemnicy dzieła wybitne, które mogą zostać ujawnione kiedyś, w razie zmiany systemu. Jeśli jednak nawet dzieła takie potajemnie powstają, to chyba są to fakty niezmiernie rzadkie i odosobnione.

Nie jest rzeczą możliwą — stwierdza dalej autor artykułu — dyskutować nad filozofią literatury, jeśli się nie dyskutuje nad filozofią w ogóle. Jest istotnie sprawą literatury mówić tak jasno jak to tylko jest możliwe o sprawach ważnych, „odzyskiwać świat przez przedstawianie go w taki sposób, by widziany był takim, jakim jest". Co jednak jest prawdą? Jakie sprawy mają wagę? Bez odpowiedzi na te pytania nie można wydawać sądu o literaturze.

Zdaniem Sartre'a przedmiotem literatury „był zawsze człowiek w tym świecie". Sformułowanie to, zdaniem autora artykułu, nie jest prawdziwie, chyba że zdecydujemy się nie zaliczać „*Boskiej Komedii*" czy „*Raju utraconego*" do literatury. Sartre deklaruje, że „zbawienie osiąga się na tej ziemi... i że sztuka jest medytacją nad życiem, a nie nad śmiercią". I to sformułowanie autor artykułu stanowczo odrzuca. Zbawienie oznacza stan pokoju i bezpieczeństwa, w którym uczucie szczęśliwości nie może być naruszone. Chrześcijanie, a być może także zwolennicy innych religii, obiecują nam taki stan, w którym nie będziemy już zdani na łaskę okoliczności. Sceptyk kwestionuje możliwość takiego stanu. Obu tych stanowisk — zdaniem autora artykułu — można rozumowo bronić, ale „utrzymywać, że zbawienie — a więc bezpieczeństwo — istnieć może na ziemi, kiedy jest rzeczą oczywistą, że niczego takiego nie ma na tym świecie raka i bomby atomowej, bitew, morderstw, nagłej śmierci, jest po prostu niemądre". Podobnie błędne i pozbawione sensu jest twierdzenie, jakoby sztuka była „medytacją nad życiem a nie nad śmiercią". Jest ono błędne, gdyż poważna część sztuki całego świata poświęcona była w tej czy innej postaci rozważaniom nad śmiercią; wystarczy wymienić „*Hamleta*" czy „*Macbetha*". Twierdzenie Sartre'a jest jednak zarazem pozbawione w ogóle znaczenia, gdyż podstawowym warunkiem życia jest właśnie fakt, że jest ono śmiertelne — i nie można zbyt głęboko medytować nad życiem, jeśli w tej czy innej postaci nie będzie się brało pod uwagę faktu śmiertelności. Gdyby nasze życie było życiem nieśmiertelnym, to nasze rozmyślania nad nim wyglądałyby na pewno zupełnie inaczej.

Sartre ma słuszność, gdy twierdzi, że jest obowiązkiem pisarza, równie jak każdego innego człowieka postępować w ten sposób, jakgdyby dobro wszystkich ludzi było rzeczą ważną, jak gdyby wszyscy ludzie byli celami. Jest to niewątpliwie prawda, ale wcale nie tak oczywista. Wiara w podstawową równość wszystkich ludzi korzeniami swymi tkwi w religii. Jeśli się religię odrzuca, traci się także powód do wiary w równość. W systemie etycznym Sartre'a brak jest przyczyn do wiary w cnotę.

Artykuł „*Times Literary Supplement*" jest o tyle interesujący, że stanowi on wyraz tendencji religijnych, nurtujących nawet te koła intelektualne w Anglii, które skłonne były do agnostycyzmu, jeśli nie indyferentyzmu w tym zakresie. Czas dopiero okaże, czy tendencje te przybiorą postać wielkiego odrodzenia religijnego. Jest w każdym razie znamienne, że większość wybitnych pisarzy angielskich młodszego pokolenia — jak Greene, Marshall, Waugh i inni — to świadomi katolicy, przepajający swą twórczość motywami moralnymi o charakterze religijnym.

**l.c.**

LUDZIE, KSIĄŻKI, ZDARZENIA.

# NAJKRÓTSZA DROGA WIEDZIE PRZEZ WARSZAWĘ

Gdy mowa o Polsce i innych narodach Europy Środkowo-Wschodniej, aż nadto często spotykamy się w artykułach i książkach, ukazujących się w Anglii czy Stanach Zjednoczonych, z tonem niechętnym, przesadnie krytycznym i mentorskim, lub nawet aroganckim. Bardzo często jest to podyktowane chęcią przekonania nie tylko opinii publicznej, ale i samego siebie, że nie ma co żałować tych krajów, skoro niewiele są warte i same na los swój zasłużyły. Z jednej strony próbuje się przez to zagłuszyć poczucie własnej winy — odzywa się tu kompleks Teheranu i Jałty —, z drugiej wciąż jeszcze kołacze się u wielu publicystów i polityków Zachodu nadzieja, że uda się przecież z Sowietami dojść do jakiegoś trwałego „*modus vivendi*" na zasadzie obecnej linii podziału kontynentu europejskiego.

Z uznaniem trzeba stwierdzić, że niewielka rozmiarami książka Josepha C. Harscha „*The Curtain Isn't Iron*", która właśnie pojawiła się w wydaniu angielskim*), wolna jest od tego rodzaju kompleksów i tendencyj. Harsch jest chyba jednym z najpopularniejszych komentatorów radiowych; jego „*American Commentary*" w Home Service B.B.C. odznacza się umiejętnością szeregowania faktów politycznych i sugestywną jasnością stylu. W latach powojennych odbył on szereg podróży po Europie Środkowo-Wschodniej, którą zresztą zwykle określa mianem „Europy Wschodniej". Polskę odwiedził w latach 1947 i 1949.

Do narodów tej części kontynentu europejskiego Harsch odnosi się z respektem i zrozumieniem ich indywidualności:

„Nigdzie na świecie — pisze — nie można znaleźć na obszarze o tej w przybliżeniu wielkości tak barwnej i fascynującej rozmaitości ludów, jak w krajach Europy Środkowej i Wschodniej, które oddzielają kraje Zachodu od Rosji Sowieckiej. Każdy z tych narodów ma własny charakter i wartości, godne zachowania. Każdy, na swój sposób, przyczynia się do wzbogacenia społeczności ludzkiej. Jest tu więc najpierw Czech, być może trochę szary, ale zarazem poważny, zapobiegliwy i zdatny do właściwego sobie działania, jeśli ma choćby pół szansy. Jest dalej Węgier, błyskotliwy, nieuleczalny romantyk, który nigdy nie oszczędza na złą godzinę, ale który jest jednym z najlepszych w świecie towarzyszy. Jest Jugosłowianin, który biedę swą obnosi z majestatem i który nigdy nie przestaje obliczać swych szans, jeśli znajdzie się pod obcym jarzmem. Jest Polak ze swą namiętną miłością ojczyzny i swym niezwykłym poczuciem odrębności zarówno od Niemców z prawa, jak i od Rosjan z lewa. Jest Fin, z pochodzenia krewniak Madziara, ale pod innymi względami bardziej spokrewniony z Amerykaninem; podobnie jak Jugosłowianin nie daje się on psychicznie przygniatać przez liczebną przewagę Rosjan. Wszystko to są narody, złożone z istot ludzkich, usiłujące żyć własnym życiem, spragnione głęboko, by zaznać wreszcie spokoju ze strony mocarstw ościennych, które ustawicznie próbują ugniatać je na swoje kopyto."

### KLUCZOWE ZNACZENIE EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

Harsch nie ogranicza się jednak do sentymentów i wyrazów uznania. Docenia on doskonale rolę, jaką kraje Europy Środkowo-Wschodniej odgrywają w równowadze sił politycznych i gospodarczych świata. Oto jak określa stanowisko przeważającej części opinii amerykańskiej w tej sprawie, wypowiadając oczywiście swe własne przede wszystkim poglądy:

„Panuje opinia, że pas państw, ciągnący się ku północy od Morza Egejskiego do Bałtyku, zdolny jest rozstrzygająco przechylać szalę potęgi światowej bądź na korzyść Zachodu, bądź też Rosji Sowieckiej. Jeśli państwa te dodane zostaną na stałe do obszaru decydujących wpływów Rosji Sowieckiej, Europa Zachodnia stanie się półwyspem niepewnie wysterczającym z ogromnego kontynentu rosyjskiego. Jeśli jednak te państwa skłonią się ku Zachodowi lub odzyskają i utrzymają byt niepodległy od Rosji, wówczas siła fizyczna Rosji w Europie i wpływ jej w Europie odepchnięte będą od zewnętrznych granic narodów słowiańskich. O ile takie zajdą okoliczności, Europa ponownie podejmie swą historyczną rolę jako czołowa i niezależna siła w świecie.

„...Europa Wschodnia jest jedynym miejscem, gdzie Wschód i Zachód znajdują się w konflikcie ścisłym i intymnym na równinach i wzdłuż rzek, które były militarnymi szlakami poprzez stulecia. Gdzie indziej geografia utrudnia kontakty i konflikty i nie dopuszcza do starć rozstrzygających. Centrum przemysłowe i ludnościowe Rosji Sowieckiej wciąż znajduje się między bagnami polskimi a Górami Uralskimi. Obszar ten bliski jest Europie Środkowej i Zachodniej. Rosja rozszerzać może swą potęgę w kierunku zachodnim najłatwiej i najszybciej przez Polskę. Najkrótsza droga z Waszyngtonu, Londynu i Paryża do Moskwy wiedzie przez Polskę, a nie przez Chiny, Birmę lub Persję. Tak samo jest w kierunku odwrotnym.

„Zachód i Rosja mogą zmagać się o Chiny, dla obojga jednak byłaby to rzecz trudna, gdyż operacje musiałyby być prowadzone poprzez długie i łatwe do zniszczenia szlaki komunikacyjne. Nie byłoby, rzecz jasna, mądrym posunięciem ze strony Zachodu pozwolić na to, by Chiny, albo który inny z odległych frontów „zimnej wojny" stał się „*casus belli*" wojny zbrojnej. Tamte inne fronty są ważne, ale nie są żywotne dla żadnej z obu stron. Europa Wschodnia natomiast przedstawia pod tym względem interes żywotny."

Mamy tu sformułowanie geopolityczne, zgodne ze znanymi tezami Mackindera i niewątpliwie zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Brak w nim wszakże jednego ogniwa: jak autor wyobraża sobie w tym porządku rzeczy rolę Niemiec. Co do tego inne miejsca książki nie pozostawiają na szczęście żadnych wątpliwości: Harsch zdecydowanie stoi na stanowisku, że kraje europejskiej „strefy środkowej" — by użyć znanego wyrażenia Vojgta — winny być w równej mierze niezależne od Rosji jak i od Niemiec, i zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa odrodzenia się zachłanności niemieckiej w tym kierunku.

Podkreśla, że za wielkie nieszczęście uważałby, gdyby końcowym wynikiem obecnego okresu „zimnej wojny" była odbudowa potężnych Niemiec w sercu Europy. Sprawy jednak, zdaniem jego, zmierzają niestety w tym właśnie kierunku: Rosja już stworzyła zalążek nowej armii niemieckiej w swej zonie, a Zachód wkrótce zrobi to samo po swej stronie. Uzbrojone zostaną „dwie Germanie" z zamiarem użycia jednej przeciw drugiej. Być może, fakt taki istotnie zajdzie. „Bardziej jednak prawdopodobne jest — zauważa Harsch —, że owe dwie Germanie znajdą jakiś sposób wymknięcia się spod swych twórców i złączenia się w jedną całość. Jeśli to się stanie, wszystkie kalkulacje, o jakich mowa jest w tej książce, pójdą na marne. Zjednoczone i uzbrojone ponownie Niemcy odepchną nas z powrotem do sytuacji z r. 1914 czy 1939 — z tą tylko różnicą, że tym razem takie Niemcy będą pamiętały o wskazówkach Bismarka i będą zmierzały do osiągnięcia swych celów raczej przez spółkę z Rosją, niż przez próbę podboju Rosji po raz trzeci. Nie rozwiąże to zagadnienia Europy Wschodniej w sposób nas zadawalający. Niemcy są lepszym przyjacielem narodów Europy Wschodniej niż Rosja. Zarówno w Berlinie i w Bonn, jak w Moskwie narody strefy pośredniej traktowane są bądź jako narzędzie do gry przeciw drugiej stronie: Niemiec przeciw Rosji i odwrotnie, bądź też jako łupy do podziału między obu partnerów".

### NIEBEZPIECZNE ZŁUDZENIA

Są to wszystko sądy bystre i trafne i cieszyć by się należało, gdyby podzielane były przez kierownicze koła polityczne w Stanach Zjednoczonych. Niestety, mniej przekonywające są wywody Harscha, gdy próbuje on wskazać konkretną drogę wiodącą do wyzwolenia Europy Środkowo-Wschodniej spod przewagi sowieckiej. W tym zakresie — jak stwierdza — w amerykańskim Departamencie Stanu ścierały się od kilku lat dwa kierunki: jeden dążący do wywrócenie reżymów komunistycznych, a drugi, przeciwnie, zmierzający do stopniowego pozyskiwania tych reżymów i zachęcania ich, by zajęły stanowisko neutralne między Zachodem a Rosją. Amerykańskie placówki dyplomatyczne w tych krajach do niedawna stanowiły doskonałe odbicie owej dwoistości poglądów w centrali; niektórzy przedstawiciele Stanów Zjednoczonych — np. Bliss Lane w Polsce i Patterson w Jugosławii — reprezentowali kierunek zdecydowanie wrogi reżymom komunistycznym, inni, jak Schoenfeld w Budapeszcie, unikali zajmowania jakiegokolwiek stanowiska w sprawach politycznych krajów, w których byli akredytowani. Podobnie rzecz się miała w zakresie stosunków handlowych; oscylowały one ze strony amerykańskiej między popieraniem wymiany towarowej, a faktycznymi, choć nie formalnymi sakcjami ekonomicznymi. Dopiero od połowy r. 1949 przedstawicielstwa amerykańskie w tej części Europy jako tako ujednoliciły swą linię postępowania, — ujednoliciły ją, jak wyraźnie z wywodów Harscha wynika, w kierunku popierania wszelkich tendencji „titoistycznych".

Jest to także stanowisko autora książki. Nie uważa on, by wyzwolenia europejskiej „strefy środkowej" spod supremacji Moskwy można było dokonać przez wojnę z Rosją. Nim by Sowiety zostały zmiażdżone, miałyby one prawdopodobnie dosyć czasu do wyniszczenia ludności tych terytoriów przez masowe deportacje w rejony arktyczne i do Turkiestanu. Gdyby zaś nawet narodom tym udało się uniknąć takiego losu, to rzeczywistymi ich władcami staliby się Niemcy, których Zachód użyłby jako piechoty w swej ofensywie przeciw Sowietom. Dodać do tego trzeba zniszczenia, jakie wojna sprawiłaby na Zachodzie. „Powiedzmy brutalnie: to, co by się udało odbudować w Europie Wschodniej po takiej wojnie, nie byłoby warte tego, co rosyjskie bomby atomowe mogłyby zdziałać i prawdopodobnie zdziałałyby w Anglii, Francji i innych demokratycznych krajach Europy Zachodniej, a być może także w pewnych częściach Stanów Zjednoczonych".

Są jednak — zdaniem Harscha — sposoby wyzwolenia Europy Środkowo-Wschodniej bez wojny. Droga do tego prowadzi przez stopniowe uniezależnianie się państw satelickich od Sowietów, na wzór tego, co się stało w Jugosławii, choć oczywiście, nie całkiem tymi samymi środkami. W ciągu swych podróży po krajach „strefy środkowej" autor odniósł wrażenie, że taki proces niemal wszędzie albo znajduje się w stanie potencjalnym albo też jest nawet w toku, oraz że Sowiety niezdolne są go zahamować. Dwa skrajne skrzydła pasa krajów Europy Środkowo-Wschodniej: Finlandia i Jugosławia są już poza obrębem dominacji sowieckiej. Wśród ludności w rosyjskiej zonie w Austrii rośnie duch oporu przeciw metodom komunistycznym; opór ten spowodował między innymi, że ustało tak częste poprzednio porywanie ludzi i że nie udało się zniszczyć przewagi socjalistycznej w związkach zawodowych.

Dla Czechów autor ma szczególną sympatię, nie żywi jednak wielkiej nadziei, by zdołali mocniej przeciwstawić się procesowi sowietyzacji, póki nie nadejdzie jakaś pomyślna w tym kierunku koniunktura polityczna. Harsch natomiast wiele się spodziewa po Polsce, która jego zdaniem jest, jak dotąd, najmniej skomunizowana ze wszystkich krajów satelickich. Na drodze do zupełnego zasymilowania jej przez Sowiety stoją tak potężne przeszkody, jak: siła nacjonalizmu polskiego, która sprawiła, że reżym do tej pory nie ośmielił się zastąpić czerwoną gwiazdą orła polskiego w armii; dalej rosnące wśród ludności niezadowolenie z warunków gospodarczych; mocna podstawa Kościoła Katolickiego i wreszcie „głęboko tkwiący indywidualizm Polaków, zwłaszcza chłopa polskiego".

Nastroje przeciwsowieckie w Polsce i innych krajach satelickich wzmacniać się będą jeszcze w miarę rosnącego faworyzowania przez Moskwę Niemców, co — zdaniem Harscha — szybko przybierać będzie coraz większe rozmiary.

Harsch trafnie więc charakteryzuje czynniki, które przeciwstawiają się procesowi sowietyzacji w Polsce i krajach sąsiednich — jego wnioski z tego stanu rzeczy idą jednak za daleko. Jest szereg oczywistych przyczyn, dlaczego w Polsce, na Węgrzech czy w Rumunii nie można liczyć na powtórzenie się tego, co nastąpiło w Jugosławii. Przede wszystkim więc kraje te ujęte są w militarne kleszcze sowieckie ze wszystkich stron; pod tym względem położenie ich jest całkiem odmienne niż krajów peryferyjnych na północy (Finlandia) i na południowym zachodzie (Jugosławia i Austria). Następnie, po doświadczeniu z Titem, Moskwa — jak zresztą sam Harsch obszernie o tym pisze — przeprowadziła w krajach satelickich gruntowną

*) Londyn, Putnam & Co., cena 8 sh. 6 d.



# „MŁODA LITERATURA FRANCUSKA"

*Paryż, w grudniu 1950*

GRUDZIEŃ w paryskim świecie literatury jest miesiącem, który różni się zdecydowanie od swych jedenastu braci. Ktoś lubiący porównania czy przenośnie mógłby powiedzieć, iż jest to miesiąc gry sportowej czy nawet namiętnego totalizatora. I myślę, że w określeniu tym nie myliłby się wiele. W grudniu, w Paryżu na łamach wszystkich pism literackich, dodatków zajmujących się sprawami sztuki, a nawet w gazetach nie mających zwykle zbyt dużo do czynienia z literaturą pojawiają się artykuły, polemiki, dyskusje i rozważania poświęcone jednemu zagadnieniu: kto w roku tym dostanie nagrodę Goncourtów, kto nagrodę Téophraste Renaudot, a kto Prix Fémina. Sypią się więc przepowiednie, mniej lub więcej szczęśliwe przypuszczenia, ukazują się wywiady z przyszłymi, domniemanymi wybrańcami losu. Każdy z większych domów wydawniczych ma swą gwiazdę, którą chce przepchać za wszelką cenę, każdy z uznanych potentatów krytyki swego ulubieńca. W grudniu więc, zamiast zwykłych rozważań, poświęconych problemom sztuki, mamy polemiki, które w charakterze swym upodabniają się niesłychanie do wskazówek i przepowiedni, poprzedzających Le Grand Prix w Auteuil, czy angielskich Derby. Myślę też, że w tym wyścigu młodych pisarzy francuskich o nagrody uczestniczyć można także w formie prywatnego totalizatora.

Atmosfera walki, która towarzyszy przyznaniu jednej z wyżej wymienionych nagród może robić wrażenie na kimś, stojącym na uboczu, bezinteresownego współzawodnictwa, zmierzającego do osiągnięcia jak najszlachetniejszego celu: wyróżnienia najbardziej zasługującego na to młodego talentu, zachęcenia go do dalszej, rzetelnej pracy, stworzenia bodźca i podniety do wartościowej twórczości. Wszystkie te elementy w walce o nagrody literackie zapewne istnieją. Ale obok nich jest jeszcze strona handlowa tego zagadnienia. Długoletni zwyczaj, bo nic innego tylko zwyczaj, sprawił, że powieść wyróżniona nagrodą Goncourtów czy Renaudot rozchodzi się we Francji w ogromnej ilości egzemplarzy. Cała prowincja, ze wszystkimi jej odsuniętymi od życia literackiego rentierami, starymi pannami i podupadłymi ziemianami kupuje automatycznie raz do roku dwie książki. I są to właśnie nagrody Goncourtów i Renaudot. Zwykle nakład powieści nagrodzonej Goncourtami osiąga około 300 tysięcy sprzedanych egzemplarzy, nagrodą Renaudot około 100 tysięcy. Jest to więc gratka, o którą ubiega się nie tylko autor, lecz głównie i przede wszystkim wydawca. Możliwości sławy i zdobycia pieniędzy stwarzają naokoło nagród tych atmosferę zażartej walki.

Zupełnie inny problem to sprawa, czy wyżej wspomniane nagrody sankcjonują rzeczywiście prawdziwe talenty. Rzecz jest wątpliwa. Z wielkich pisarzy, których Francja wydała w tym wieku, takich jak Gide, Montherlant, Malraux, Giraudoux, nikt nie dostał żadnej z tych nagród. I równocześnie wielu z nagrodzonych pisarzy po uzyskaniu tego wyróżnienia błysnęło nagle sławą, by zaraz potem zgasnąć, jak meteor. Bardzo nieliczni są ci, którzy późniejszym swym dorobkiem potrafili udowodnić, iż nie pomylono się co do wartości ich talentu. Dzieje się to między innymi i pewnie dlatego, że niespodziewane otwarcie się podwoi do sławy licznych młodych pisarzy wytrąca z równowagi. Ale jest to już inne zagadnienie.

Tego roku nagrodę Goncourtów przyznano Paul Collin za powieść p.t. „Les jeux sauvages", a nagrodę Renaudot — Pierre Molaine za książkę p.t. „Les orgues de l'enfer". Obie te decyzje miały charakter co najmniej nieoczekiwany i spotkały się one w prasie z reakcjami zabarwionymi pewnego rodzaju zdumieniem. Mówi się, że wśród kandydatów na nagrody było całe grono wybitniejszych od wyróżnionych i cytuje się takie nazwiska jak, Hervé Bazin, Roger Nimier, Michel Zaraffa, Gay Lussac itd. oraz utrzymuje się, że wartość nagrodzonych książek nie jest proporcjonalna w stosunku do przyznanych im tytułów. Znamienna pod tym względem była recenzja jednego z najwybitniejszych krytyków Emile Henriot, który z rzadką jak na niego ironią mówił o powieści Collin. Ale wydaje się, że spór kto ma rację, jury czy prasa, jest sporem mniej istotnym. Rozbieżności w ocenie wartości utworu literackiego istniały zawsze, pomyłki w ocenach tych są zawsze możliwe. Dużo istotniejsze od sporu tego jest inne zagadnienie, na które chciałbym zwrócić uwagę.

Zwykle jury przy rozpatrywaniu przedłożonych utworów i zanim poweźmie decyzję wysunięcia tego czy innego kandydata staje w obliczu nie tylko szerokiej skali talentów, lecz także styka się z różnymi gatunkami i sposobami pisania, z odmiennymi tematykami, z przeciwstawnymi sobie światopoglądami. Walka więc i ścieranie się zdań wewnątrz jury jest nie tylko próbą wyselekcjonowania najbardziej szlachetnego talentu, lecz dążeniem do usankcjonowania pewnego sposobu pisania, pewnego światopoglądu, pewnej tematyki. Otóż tego roku jury Goncourtów stanęło w obliczu

czystkę, usuwając z ich organów rządzących i z „góry” wojskowej wszystkie niepewne z jej punktu widzenia elementy. W ten sposób, wbrew tytułowi książki Harscha, kurtyna oddzielająca te kraje od reszty Europy stała się jeszcze szczelniejsza.

Jeśli zaś chodzi o kwestię niemiecką, tak jak dotąd nie Rosja, ale właśnie Zachód przez mniej lub więcej otwarte podsycanie rewizjonizmu niemieckiego, wywoływać musi coraz to większy niepokój w Polsce i Czechosłowacji, a nawet w innych krajach za „Kurtyną”, co także automatycznie działać musi na rzecz utwierdzenia się wpływów sowieckich.

Daleko idące zastrzeżenia budzi również sposób, w jaki Harsch w kilku miejscach charakteryzuje opozycję polityczną przeciw reżymom komunistycznym — w krajach satelickich i na emigracji. Opozycja ta wcale nie ma charakteru jednostronnie klasowego i nie opiera się na „*dispossessed classes*” — tj. na właścicielach ziemskich, przemysłowcach i bogatych kupcach, jakby wynikało z niektórych pobieżnych zresztą, sformułowań Harscha. Opozycja ta obejmuje — i to nie tylko w Polsce, w Czechosłowacji i na Węgrzech, ale także w krajach bałkańskich — najszersze koła ludności z chłopami i robotnikami na czele; jej ideowym trzonem są dawne ruchy i stronnictwa polityczne, które wcale nie zamarły w umysłach ludności choć wszelka ich działalność została brutalnie stłumiona przez reżymy komunistyczne i ich policję.

Nie jest też zupełnie ścisłe stwierdzenie, jakoby spontaniczny opór ludności krajów satelickich kierował się nie tyle przeciw dokonywanym tam „reformom społecznym”, które są na ogół aprobowane, co przeciw supremacji rosyjskiej. Reżymy komunistyczne w rzeczywistości żadnych prawie pożytecznych reform społecznych w Europie Środkowo-Wschodniej nie przeprowadziły, a pod wielu względami możność reform rzeczywistych utrudniły i popsuły.

Jeśli chodzi o wielką własność ziemską, to jedynym krajem, w którym istniała ona jeszcze w poważnych rozmiarach, były Węgry. W Polsce i wielka i średnia własność ziemska znajdowała się w stanie szybkiego zaniku na rzecz gospodarstw włościańskich (w r. 1939 nie więcej niż 14% ogółu ziemi uprawnej należało do gospodarstw o powierzchni ponad 50 hektarów); w Czechosłowacji było podobnie; w Rumunii, Jugosławii i Bułgarii zagadnienie to w ogóle nie istniało wobec braku większej własności ziemskiej. Obecnie bezrolni na Węgrzech, czy w Polsce, którzy dostali jakiś kęs ziemi, coraz bezwzględniej — wraz z ogółem chłopów — wtłaczani są w kołchozy, a więc w nową postać zależności pańszczyźnianej. Robotnicy nie tylko nie osiągnęli przedwojennego poziomu płac (w Polsce poziom ten jest niższy co najmniej o 20%), ale stracili swe wolne związki zawodowe i przez różnego rodzaju naciski zmuszeni są do pracy coraz cięższej i dłuższej.

Harsch pisze z podziwem o odbudowie Warszawy, ale i tu wpada w dosyć częsty wśród dziennikarzy Zachodu błąd: przypisuje tę odbudowę w rozstrzygającej mierze inicjatywie i wysiłkom reżymu komunistycznego. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że gdyby Polska naprawdę była wolna i gdyby u jej steru stał normalny rząd konstytucyjny, cieszący się poparciem społeczeństwa, dalej gdyby w granicach państwa polskiego znalazły się, jak teraz, Ziemie Odzyskane oraz gdyby Polska dostała pomoc z planu Marshalla czy jakiegoś innego, — to odbudowa zarówno Warszawy, jak i Ziem Odzyskanych i całego kraju poczyniłaby do dzisiaj dużo jeszcze większe postępy.*) Równocześnie reformy społeczne dokonywane byłyby pod kątem widzenia zdrowej struktury kraju i sprawiedliwości dla wszystkich, nie zaś służenia interesom sowieckim i doktrynie Marksa w jej moskiewskiej interpretacji.

* * *

Sądzimy, że uwolnienie Europy Środkowo-Wschodniej bez wojny możliwe jest tylko w jednym wypadku: jeśli Zachód stworzy tak potężną siłę, nie tylko polityczną i wojskową, ale także moralną — i to przede wszystkim moralną —, że przez samą swą atrakcyjność zdolna ona będzie kruszyć dynamizm i dyscyplinę komunizmu sowieckiego. Droga do tego nie wiedzie jednak ani przez granie na instynktach rewanżowych i militarystycznych narodu niemieckiego, ani przez ciągłe kompromisy ze złem i handlowanie wartościami moralnymi. Na razie stan rzeczy pod tym względem wcale się nie przedstawia zachęcająco.

*(pm.)*

*) Interesujące dane na temat rzekomych osiągnieć gospodarczych reżymu komunistycznego w Polsce podaje artykuł K. Brzóski „Sytuacja gospodarcza Polski” w nr. 12 „Kultury” z r. ub.



rzadko spotykanego zjawiska. Większość przedłożonych utworów poruszała podobne do siebie zagadnienia i większość ich w ujęciu tych zagadnień zdradzała dziwną tożsamość nieomal światopoglądów. Automatycznie pole wyboru jury zostało zwężone i wybór jego dokonany być mógł tylko w granicach podobnej tematyki i podobnego światopoglądu. Jest to zjawisko, które wykracza swym znaczeniem daleko poza spory dotyczące wyróżnienia tego czy innego kandydata. Wydaje się też, że zjawisko to nie jest wynikiem jakiegoś zastanawiającego zbiegu okoliczności, lecz, że jest ono po prostu wykładnikiem pewnych charakterystycznych zainteresowań i nastawień młodych pisarzy francuskich.

Większość tegorocznych powieści autorów francuskich poświęcona jest opisowi przeżyć dzieci i młodzieży. Są to przeważnie przetransponowane wspomnienia własne. I w nagrodzonej powieści Collina i w książce Hervé Bazin i w książkach Roger Nimier, Gay Lussaca, Micheline Peyrebonne przenosimy się w świat doświadczeń, odczuć i nastawień dzieci i dorastających podlotków. Już sam fakt tego powrotu do własnych wspomnień jest rzeczą ciekawą. Takie masowe nieomal odwrócenie się od zagadnień świata zewnętrznego, takie pochylenie się wyłącznie nad samym sobą daje nam dużo do myślenia. Czyżby świat dzisiejszy z jego spiętrzoną zawiłością problemów młodych pisarzy francuskich nie interesował, czyżby między światem tym a nimi istniała jakaś przegroda utrudniająca zrozumienie? Dlaczego wolą oni kłopoty własne od spraw i trosk ogólnych? Odpowiedzenie na pytania te nie jest rzeczą łatwą. Jak zawsze dla wyjaśnienia zjawiska tego przytoczyć by należało cały szereg przyczyn. Dzisiaj jednak ograniczę się tylko do jego stwierdzenia.

Jeszcze bardziej znamienne od faktu zagłębiania się we własnych wspomnieniach jest to, jak młodzi pisarze francuscy widzą swe lata dziecinne i swą młodość. W widzeniu tym jest jakaś zastanawiająca zgodność stanowiska. Świat, w który wprowadzają nas młodzi pisarze francuscy to bynajmniej nie świat niewinnych i wzruszających aniołków. Wprost przeciwnie. Jest to jakieś przerażające kłębowisko kompleksów, wzajemnych niechęci, nienawiści, zazdrości, podstępów, kłamstw, zboczeń i rywalizacji w niezdrowym ekshibicjoniźmie. Książka Collina to rozszalali i posłuszni swym instynktom młodzi chłopcy i dziewczęta, powieść Bazina to nienawiść i wyrosłe na nienawiści tej kompleksy syna do matki, książka Micheline Peyrebonne (autorka jest głuchoniemą i sam tytuł jej książki mówi sam za siebie: „Leur sale pitié”) opisuje nam życie chłopców i dziewcząt w przytułku dla niewidomych i głuchoniemych, gdzie te nieszczęśliwe kaleki żyją tylko jednym uczuciem — wzajemną, wściekłą nienawiścią, która prowadzi do walk i znęcania się głuchoniemych nad niewidomymi, do najpodlejszych podstępów i hipokryzji. To samo z innymi książkami.

Taka jest tegoroczna młoda literatura francuska. Podobieństwo tematyki i podobieństwo w jej ujęciu. W wizji własnych wspomnień, którą roztaczają przed oczami naszymi pisarze francuscy ostatniego pokolenia, nie ma ani jednej jaśniejszej i pocieszającej barwy. Ta jednolitość ich stanowiska jest dosyć zdumiewającym objawem. I wydaje się, że wytłumaczenia tego zjawiska można chyba tylko szukać w jakiejś potrzebie własnego usprawiedliwienia, w jakimś pragnieniu wyjaśnienia przyczyn tego, co przyzwyczailiśmy się nazywać upadkiem i rozkładem cywilizacji zachodniej.

**(Jur.)**

JAN WEPSIĘĆ

# RENESANS KOLĘDY ANGIELSKIEJ

Kolędy narodów kontynentu europejskiego straciły dużo ze swej dawnej popularności. Może najjaskrawiej jest to widoczne na przykładzie kolędy włoskiej, która była niegdyś wzorem (za pośrednictwem języka łacińskiego) dla kolęd innych narodów. Dziś zasób popularnych kolęd włoskich ogranicza się do kilku. Zjawisko odwrotne przedstawiają dzieje kolędy angielskiej. Jej bujny rozwój został zahamowany na skutek wrogiego ustosunkowania się purytan do wszystkiego, co było związane z obchodzeniem świąt Bożego Narodzenia na sposób katolicki. Kiedy oddziaływanie purytanizmu osłabło na skutek przywrócenia monarchii (Karol II), kolęda nie odzyskała swego dawnego znaczenia. Mimo bowiem iż ustał nacisk zewnętrzny Reformacja oddziaływała hamująco za pośrednictwem jej właściwego wzoru literackiego w pieśni religijnej: hymnu. Ta nowa forma była obca, bo zbyt „uczona“ i literacka w porównaniu z ogólnym typem kolędy czysto epickiej, najbogaciej rozwiniętej, czy ludowej czy apokryficznej. Kolędy hymniczne stanowiły bardzo znikomy procent w twórczości kolędowej przedreformacyjnej.

Nowy typ kolędy opartej o wzory hymnu chcieli stworzyć dwaj wybitni twórcy angielskich hymnów religijnych: I s a a c W a t t s (1674 — 1748) i C h a r l e s W e s l e y (1707 — 1788). Wattsa: „Joy to the World!“ i C. Wesleya: „Hark! the Herald Angels Sing!“ czy „Hark, What Mean those Heavenly Voices?“ są dobrymi formami, ale przeciętnemu wiernemu nie dają tego, co szukał w pieśni na Boże Narodzenie, nie rozwijają obrazów tak znanych z Ewangelii opowiadającej o narodzeniu się Jezusa w betlejemskiej stajni, o aniołach rozgłaszających wieść o przyjściu na świat Bożej Dzieciny, o hołdzie i darach pasterzy i królów itd. Takie obrazy to nie materiał dla utworu hymnicznego. Materiałem i żywiołem hymnu — to przede wszystkim uczucie. Jakiś ogólnie zarysowany obraz — to tylko punkt wyjścia. Takimi właśnie są kolędy obu wymienionych hymnistów. Pozostały utworami do czytania, jak z górą 6000 innych hymnów Wesleya czy 500 hymnów Wattsa. Niemniej jednak odegrały swą rolę: wskazały kierunek dla twórców kolędowych w w. XIX.

O renesansie kolędy angielskiej można mówić dopiero w w. XIX. Złożyły się na to dwa czynniki: 1) przekonanie romantyków, że ducha prawdziwej poezji narodowej trzeba szukać w poezji ludowej; 2) odrodzeńczy ruch katolicki, znany pod nazwą Oxford Movement, związany z działalnością kardynała J. H. Newmana.

Od czasów Reformacji kolęda angielska była pieśnią domową ludu wiejskiego. Nie była pieśnią kościelną. Ponieważ romantycy traktowali kolędę na równi z innymi rodzajami pieśni ludowej, cieszyła się ona u nich dużymi względami. Rezultatem tego zainteresowania się było wydanie dwu zbiorów kolęd: jeden — to „Collection of Carols“ (1823), drugi — to „Christmas Carols Ancient and Modern“ 1833). Dzięki nim rozbudziło się duże zainteresowanie kolędami i w t.zw. wyższych warstwach społecznych. Kolęda stała się pieśnią znaną powszechnie.

Rozbudzenie nowej twórczości kolędowej jest zasługą ludzi związanych ze wspomnianym już ruchem oxfordzkim, głównie J. M. Neale‘a i E. Caswalla. Twórczość ich, choć nie całkowicie, poszła jednak głównie w kierunku kolędy hymnicznej. Neale, który po łacinie pisał równie jak po angielsku, dał również dużą ilość przekładów kolęd łacińskich na język angielski.

Prądowi zainteresowania dali porwać się tacy poeci, kompozytorzy i muzycy, jak J. Barnet, J. B. Calkin, S. T. Coleridge, J. Dykes, G. J. Elvey, J. Goss, A. Gurney, J. H. Hopkins, R. F. Littledale, W. H. Monk, W. Morris, F. A. G. Ouseley, A. Sullivan, R. W. Williams itd., tworząc nowe kolędy, czy dorabiając do nich muzykę.

Dzięki oddziaływaniu tych wszystkich czynników kolęda weszła do kościołów w ciągu trzeciej ćwierci ubiegłego stulecia, zyskując sobie w ten sposób kler, jako opiekunów z urzędu. Chóry kościelne stanowią dziś środek propagandy kolędy w społeczeństwie. Kolęda rozbrzmiewa dziś w Anglii w domach, czasem nawet na placach publicznych, śpiewana przez chóry i w kościołach tak katolickich jak i Church of England.

Kiedy przyglądniemy się bliżej obecnie śpiewanym kolędom, kolędom popularnym, to uderzy nas fakt, że są to przede wszystkim kolędy dawne, przedreformacyjne, czy z początkowego okresu Reformacji. Kolędy nowsze, dziewiętnastowieczne — z nielicznymi tylko wyjątkami — pozostały kolędami książkowymi, poetycznymi.

Z kolęd nowszych największą popularnością cieszy się „Silent Night, Holy Night“, która jest przekładem niemieckiej kolędy „Stille Nacht...“, napisanej w początkach XIX w. przez Austriaka Józefa Mohra. Jest ona kolędą może o najszerszym zasięgu popularności. Można ją chyba pod tym względem porównać tylko z łacińską kolędą „Adeste fideles“, znaną w przeróbkach i przekładach większości narodów europejskich.

Sumując pobieżne nasze uwagi, można powiedzieć krótko: renesans kolędy angielskiej był zjawiskiem, jakie miało miejsce w w. XIX, a które polegało zarówno na upowszechnieniu znajomości i zwyczaju śpiewania przez wszystkie warstwy społeczne zepchniętej przez Reformację do ludu wiejskiego kolędy przedreformacyjnej jak i na rozbudzeniu oryginalnej twórczości kolędowej.

**Jan Wepsięć**

Z PROBLEMÓW EMIGRACYJNYCH

# SZKOŁA HANDLU ZAGRANICZNEGO

W MOMENCIE, kiedy inteligencja polska na emigracji walczy z ogromnymi trudnościami, warto jest może zwrócić specjalną uwagę na uroczystość zakończenia 6-go kursu Szkoły Handlu Zagranicznego i Administracji Portowej, która odbyła się niedawno w Toynbee Hall (East London University Settlement).

Uczelnia ta, założona w r. 1942 przez Rząd Polski z myślą o przygotowaniu kadr fachowców dla potrzeb powojennego życia gospodarczego Polski, od roku 1945 służy celowi praktycznego dostosowania ogólnego wykształcenia studentów Szkoły do położenia, w którym znaleźli się poza granicami własnego kraju na przymusowej emigracji. W ostatnich trzech latach dzięki Szkole mógł Komitet Oświaty Polaków w W. Brytanii dać zawodowe wykształcenie ludziom, którym z powodu wydarzeń wojennych nie było dane rozpocząć, lub ukończyć rozpoczęte przed wojną studia wyższe i którzy wskutek przekroczonej granicy wieku nie mogliby znaleźć miejsca na angielskich uczelniach. Słuchacze Szkoły rekrutują się także w pewnej liczbie z tych, którzy studia wyższe już posiadają, ale którym dyplomy uniwersytetów polskich nie dają podstaw do zdobycia pracy o charakterze umysłowym.

Od chwili założenia Szkoły w roku 1942 studiowało w niej ok. 500 osób. W ostatnich latach cyfra stypendystów przekraczała co roku setkę.

Wyniki jakie Szkoła zdołała osiągnąć, zadecydowały, że byt jej jest przedłużany z roku na rok, pomimo iż była ona jednym z zakładów przeznaczonych do likwidacji w pierwszej kolejności.

Na czym polega ta tajemnica sukcesu Szkoły?

Przed kilku dniami londyński „Times” pisząc o przyszłości technicznych zakładów w tym kraju podkreślił mocno, że o wartości uczelni świadczy zawsze poziom jej grona nauczycielskiego. Jego fachowe przygotowanie, jego zapał w pracy to są wartości, które decydują o rozkwicie uczelni; ich brak przesądza losy każdego zakładu naukowego. Dziwnym może się wydawać, że Szkoła H.Z., która od połowy roku 1945 do końca roku 1946 pracowała pod groźbą likwidacji z miesiąca na miesiąc i właściwie bez żadnych perspektyw na przyszłość, zdołała skupić zespół nauczycielski, angielski i polski, który z korzyścią dla siebie może być porównany z zespołem najlepszych zakładów tego typu na terenie Londynu. Jak to się stało będzie zawsze tajemnicą uczelni i jej dyrektora, d-ra S. Z. Szyszkowskiego.

Co jest właściwie probieżem tego powodzenia w pracy? Kryteria tu zastosowane zasadniczo są te same, co przy ocenie wartości każdej uczelni. A więc, czy i w jakim stopniu daje ona wiedzę swym wychowankom, a następnie czy wiedza ta jest wystarczająca, aby zapewnić absolwentom start w życiu w zakresie nabytych wiadomości. Szkoła H. Z. jest najwyższego typu Szkołą zawodową, dającą przede wszystkim praktyczne wiadomości z zakresu handlu. Różnorodność wzajemnie się wypełniających przedmiotów i poziom wykładów dają studentom szeroki pogląd na problemy handlu w ogólności i zrozumienie skomplikowanych procesów gospodarczych. Szkoła w ciągu 12-tu miesięcznych kursów pokrywa właściwie materiał, który dla studenta bez należytego wykształcenia ogólnego, wymagałby co najmniej dwóch lat studiów. Praktycznym sprawdzianem nabytych przez absolwentów Szkoły wiadomości są nie tylko egzaminy wewnętrzne Szkoły, ale również i egzaminy z kilku przedmiotów, składane w Londyńskiej Izbie Handlowej na t. zw. „Higher Stage Certificates”. 75% jako przeciętna złożonych egzaminów zewnętrznych w ostatnich dwóch latach, i blisko 1000 certyfikatów Londyńskiej Izby Handlowej uzyskanych w tym czasie są liczbami dostatecznie wymownymi.

Nie mniej korzystnie przedstawia się sprawa zatrudnienia. Z rocznika 1948/49 blisko 90% absolwentów pracuje w zawodzie, do którego byli przygotowywani; z rocznika, który ukończył Szkołę w maju roku 1950, zatrudnienie takie uzyskało ok. 75%. Niemal wszyscy absolwenci zaczynają pracę od £ 5 - 6 tygodniowo, wielu z nich po roku czy dwóch wybija się już na wyższe stanowiska z pensją roczną £400—500, lub nawet w niektórych wypadkach wyższą.

Stosunek pracodawców do Szkoły i jej absolwentów najlepiej charakteryzują wyniki przeprowadzonej ankiety. Nadesłane opinie były prawie zgodne, wyrażały zadowolenie z dobrego przygotowania absolwentów. Zdarzają się takie wypadki, że pracodawcy zwracają się do Szkoły o kandydatów na wakujące posady. Z absolwentów rocznika 1949/50 ok. 1/3 zatrudniły przedsiębiorstwa, które poprzednio zetknęły się już z absolwentami Szkoły. Ciekawym zjawiskiem jest fakt, że duży procent kończących studia w Szkole, kontynuuje nadal pracę nad sobą, uczęszczając wieczorami na wykłady w różnych instytutach zawodowych, bądź na wykłady typu już czysto uniwersyteckiego.

Wszystko wyżej powiedziane znalazło swoje potwierdzenie w listach i wypowiedziach, jakie miały miejsce na wspomnianej na wstępie uroczystości rozdania świadectw absolwentom rocznika 1949/50. Sir George Gater, Przewodniczący Komitetu dla Spraw Oświaty Polaków w W. Brytanii, i p. R. Ridout, Dyrektor Departamentu Szkolenia Handlowego w Londyńskiej Izbie Handlowej, którzy nie mogli przybyć na uroczystość, w nadesłanych listach wyrażali się w sposób najbardziej pochlebny o osiągnięciach Szkoły, opierając się w swych wypowiedziach na konkretnym materiale i porównawczych wynikach egzaminów absolwentów Szkoły z wynikami podobnych egzaminów dla całego kraju. Przewodniczący zebrania p. Ambasador E. Raczyński mówił o zaufaniu, jakie Szkoła zdobyła wśród społeczeństwa polskiego na emigracji. Dr. Mallon, Warden Toynbee Hall, z którego gościny Szkoła korzysta, w serdecznym i pełnym humoru przemówieniu podkreślił doskonałą opinię, jaką Polacy uzyskali w tym osiedlu, wreszcie p. Frank H. Harrod, który jako gość honorowy, dokonał rozdania świadectw, wyraził pełne uznanie, jakie codzienna praca Szkoły zdobyła w Komitecie. Opinia o pracy waszej, mówił p. Harrod, opiera się nie na takich, czy innych wrażeniach, lecz na konkretnych cyfrach i faktach.

Ton przemówień na uroczystościach, obecność wielu przedstawicieli różnych instytucyj polskich i brytyjskich a także przybycie licznych absolwentów z poprzednich roczników, stworzyły miły nastrój wzajemnej życzliwości, który panował także podczas zebrania towarzyskiego, którym uroczystość zakończono.

**M. Jeżewska**

# ZAPISKI LONDYŃSKIE

### PISARZE NA WYGNANIU

W szeregu pism brytyjskich ukazał się apel Międzynarodowego P.E.N. Clubu w sprawie pomocy pisarzom na wygnaniu. Apel ten w tłumaczeniu polskim brzmi następująco:

„Wypełniając dwie rezolucje, powzięte we wrześniu 1949 r. na weneckim Kongresie Międzynarodowego P.E.N. Clubu, jego komitet wykonawczy na sesji swej w Londynie w kwietniu 1950 r. zdecydował utworzyć specjalną Komisję, zajmującą się wyłącznie pisarzami na wygnaniu.

„Zadaniem Komisji specjalnej jest wzbudzić zainteresowanie dla pisarzy, którzy poszukują wolności ekspresji artystycznej poza granicami swych krajów, i dostarczyć im pomocy. Komisja będzie usiłowała dawać im sposobność twórczej pracy przez swobodniejszy dostęp do rynku książkowego, radia i prasy. Położony będzie nacisk na zachęcanie młodych pisarzy, których start literacki stał się jeszcze trudniejszy przez fakt, że są bezpaństwowcami.

„Ponieważ pomysł ów zrodził się w tym kraju, który jest jednym z głównych miejsc schronienia dla pisarzy-wygnańców ze wszystkich krajów, Komisja podjęła swą działalność w Londynie, spodziewa się jednak rozciągnąć ją na inne ośrodki P.E.N. Clubu, gdzie później wejść mogą w życie podobne schematy.

„Zadanie leżące przed nami jest ogromne i nie będziemy zdolni wypełnić go nawet w pewnej mierze z powodzeniem bez pomocy wszystkich kolegów; odwołujemy się więc do ich praktycznej dobrej woli. Równocześnie zapraszamy pisarzy na wygnaniu, którzy mieszkają w Wielkiej Brytanii i sądzą, że przysługuje im wybieralność na członków P. E. N. Clubu, by skomunikowali się z nami osobiście lub pisemnie — w Glebe House, 62-63, Glebe Place, London S. W. 3.

„Za Komisję Spraw Pisarzy na Wygnaniu Międzynarodowego P.E.N. Clubu:

„Storm Jameson, Hermon Ould, Stephen Spender (przedstawiciele brytyjscy), Maria Kuncewiczowa (pro tem.)."

### DZIEJE NAWRÓCENIA

Były „news editor" (redaktor działu informacyjnego) komunistycznego „Daily Workera" Douglas Hyde, ogłosił drukiem pt. „*I Believed*" dzieje swego nawrócenia na katolicyzm. Hyde opisuje, w jaki sposób doszedł do porzucenia komunizmu, do którego poprzednio był przywiązany fanatycznie.

Książka wyszła nakładem Heinemanna. Cena 10 sh. 6 d.

### „DWUDZIESTE STULECIE"

Obecny redaktor miesięcznika „*The Nineteenth Century and After*" Michael Goodwin zdecydował się w porozumieniu z wydawcą zmienić od Nowego Roku nazwę pisma na „*The Twentieth Century*". Jak przypomina „Observer", zmiana ta miała już nastąpić pięćdziesiąt lat temu, ale założyciel pisma James Knowles tak pedantycznie zwlekał z nią aż do 1 stycznia 1901 r., że tymczasem nazwę „Twentieth Century" zabrał kto inny, chroniąc ją przez „Copyright".

„The Nineteenth Century", założony w r. 1877, był w swych pierwszych dziesięcioleciach jednym z czołowych periodyków Anglii. Pisywali tam Gladstone, Tennyson, Matthew Arnold, T. H. Huxley. Od siebie dodajmy, że w czasie Drugiej Wojny Światowej miesięcznik ten, dzięki artykułom swego redaktora F. A. Voigta, stał się główną trybuną obrony praw Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej przed imperializmem niemieckim i sowieckim oraz „appeasementem" w jednym czy drugim kierunku. Nie jest winą ówczesnego redaktora pisma, że rozwój wypadków i polityki brytyjskiej potoczył się inaczej.

„Observer" podkreśla, że miesięcznikom brytyjskim utrzymać się jest coraz trudniej, gdyż publiczność w naszych czasach zdecydowanie woli tygodniki. Poza tym do miesięczników przestali na ogół pisywać publicyści i pisarze „ciężkiej wagi", których współpraca skierowała się gdzie indziej. Niektóre z magazynów amerykańskich płacą swym współpracownikom po dolarze zamiast pensa, otrzymywanego w honorariach na terenie Wielkiej Brytanii. Poza tym „trzeci program" B. B. C. z jego rozprawami i dyskusjami coraz bardziej przyciąga pisarzy.

PO ŁEPKACH

# KULTURA

Z Nowym Rokiem 1951, otwierającym drugie półwiecze bodaj najbujniejszego w dziejach po I stuleciu — wieku XX, trudno by sobie postawić pytanie poważniejsze ponad to: „Po co właściwie żyjemy?"

Pytaniu temu wyszli naprzeciw właśnie co katolicy w Kraju. Być może dlatego, iż okrągłość wieków i innych epok nastraja zwykle umysły do rozważań zasadniczych. Powaga wszakże stawianych tez kulturalnych przez najlepsze z istniejących na świecie czasopism polskich, to jest „Tygodnik Powszechny", pokrywa ponadto niewątpliwie jakąś generalną dysputę między obozami marksistowskim i katolickim w Kraju. Świadczy o tym dobitnie programowy artykuł w „Tygodniku Powszechnym", podpisany wspólnie przez czołowych publicystów katolickich w Polsce — St. Stommę i Jerzego Turowicza — zatytułowany: „Katolicy w Polsce Ludowej".

Otóż katolicy w Polsce ludowej godzą się z faktem politycznego zwycięstwa obozu komunistycznego i skłonni są popierać te jego dążności i działania społeczne i polityczne, które zgodne są ze światopoglądem katolickim. W szczególności sprzyjają tendencjom pokojowym a szermowanie argumentem bomby atomowej poczytują za „zbrodnicze i nierozumne".

„Natomiast w żadnym wypadku i nigdy zrezygnować nie mogą z walki o kulturę chrześcijańską, czyli o chrześcijańską treść życia." „Są ludzie, którzy głoszą potrzebę jakiegoś kompromisu kulturalnego. Sugerują oni myśli o jakiejś syntezie, w której by ideały kulturalne katolickie splotły się z ideałami socjalistycznymi. Sugestie te odrzucamy".

Tak więc kości zostały rzucone. Katolikom w Polsce nie tylko chodzi o swobodę wyznania, o wolność religii, o tolerancję wobec praktyk i kultu. Chodzi o chrześcijańskość całego życia, o chrześcijańską kulturę. „Kulturę rozumiemy tu w sensie najogólniejszym, jako styl życia i charakter twórczości ludzkiej. Kultura chrześcijańska znaczy więc tyle, co życie chrześcijańskie."

Ani wątpić, że politycznie nastrojone społeczeństwo emigracyjne zatrze zażywnie ręce po tym credo katolików w Kraju: „nie masz zgody, mopanku!" — na wszelki wypadek zasłaniając uszy przed surową krytyką tych czynników emigracyjnych, które głoszą zasadę: im gorzej, tym lepiej. Będą ci emigranci w błędzie, jeśli nie dosłyszą i nie pojmą, że tezy i argumenty katolików w Kraju równie celnie wymierzone są przeciw komunistom, jak i przeciw znacznej części nas tu, na emigracji.

Albowiem my, względnie znaczna nas ilość, odrzucamy i kulturę i formy polityczne komunizmu, bynajmniej nie aprobując ani kultury ani nawet społecznych tez chrześcijańskich.

Człowiek współczesny przypomina źle oswojonego konia stepowego, który zerwał się z uwięzi dotychczasowych form kultury i za nic nie chce wrócić do jakichkolwiek form nowych, rozkoszując się stanem indywidualnej dzikości. To zatem, co jest absolutnym zaprzeczeniem kultury, zwykł z pychą określać — kulturą. A to jest brak religii, niewiara, sceptycyzm.

Dzieje ludzkości w grubych zarysach można by określić jako dzieje Boga w ludziach, dzieje uprzywilejowanych rodzin, dzieje narodu, dzieje klasy, a nastaną też zapewne kiedyś i dzieje społeczności światowej. Człowiek pragnie pokosztować wszystkiego. Naród, klasa, obywatelstwo świata, to są jednakże idee, koncepcje kuluralne, systemy filozoficzne i swoiste religie. Człowiek natomiast, który stoi na uboczu tych wszystkich systemów, stroniąc od wszystkich i wynosząc nad wszystkie swój umysł, żyjący bez Boga, bez narodu i bez klasy jest istotą, rezygnującą także z ich kultur. Jest to człowiek kulturalnie ułomny.

Takie niestety jest w dużej części nasze społeczeństwo emigracyjne. Taką jest zwłaszcza inteligencja.

Cały bieg dziejów ludzkości wypełniony był walką o religię, czyli o sens życia. O tę sprawę toczy się również najżarliwsza walka dziś. Wiek XIX i pół wieku XX były widownią gwałtownego zrywania więzów łączących człowieka z Bogiem, kruszeniem resztek olbrzymiego gmachu Państwa Bożego, który wzniosło średniowiecze. Pokolenie nasze jest spadkobiercą burzycieli. Burzenie do niedawna zastępowało ideały i piękna i dobra i prawdy. „Indywidualność — jak zwraca uwagę Bogdan Suchodolski („Skąd i dokąd idziemy") — coraz chętniej mierzono oryginalnością. Miała ona raczej zadziwiać, niż budzić szacunek reprezentowaniem trwałych i powszechnie ważnych wartości". Kulturą po prostu było — w nic nie wierzyć. Religia, jeśli otwarcie nie zwalczana i nie wyszydzana, była i bywa conajwyżej bardzo osobistą pamiątką w głębokich zakamarkach duszy.

Marksizm nie jest wrogiem owej XIX i XX-wiecznej kultury sceptycyzmu; jest natomiast jej konsekwencją. Punktem wyjścia dla filozofii komunizmu było burzenie kultury przez filozofów, myślicieli, artystów, polityków i uczonych ostatnich dwu wieków. Nie komunizm zburzył imperium kultury chrześcijańskiej, ale źli chrześcijanie. Ci, którzy poczęli w XVIII i XIX wieku w imię „kultury" obalać religię. Ich spadkobiercami i naśladowcami i uczniami są dziś ci wszyscy, którzy nieraz walcząc z komunizmem nie walczą z własnym złem, z własną obojętnością wobec religii. Są to rycerze bez zaplecza, Don Kiszoci pustki kulturalnej.

Czyż trzeba daleko sięgać po dowody, że społeczeństwo polskie na emigracji żyje bez Boga, bez rozumienia Boga i tym samym najwyższego ideału kultury? Aż mdło się robi od deklamacji, pouczeń i przypomnień o zachowywaniu, przestrzeganiu i chronieniu naszej narodowej kultury. Cóż to znaczy kultura polska? To cząstka kultury chrześcijańskiej. Więcej nawet — idea narodowa polska, to nic innego, jak idea chrześcijańska, realizowana we własnych granicach!

„Bo kultura — pisze Jerzy Turowicz w „Tygodniku Powszechnym" — nie jest celem sama dla siebie, celem — w porządku ludzkim — jest człowiek, człowiek tworzy kulturę dla siebie. Osoba ludzka — w metafizycznej, chrześcijańskiej perspektywie — obdarzona nieśmiertelnością, posiadająca wymiar nadprzyrodzony i pozadoczesny, przerasta kulturę, która musi się jej podporządkować. Zadanie ziemskie, to właśnie kształtować się jako osobowość moralna, jako świadomość, jako odpowiedzialność nie tylko za swój własny kształt, który nie jest osobie dany w postaci gotowej, lecz jest jej **zadany**, ale odpowiedzialność za całą zbiorowość ludzką, za całą ludzkość i za całą historię. To znaczy za spełnienie sensu historii. To znaczy nie jakaś mglista i mityczna odpowiedzialność za to, co jest i dzieje się tu i teraz, za bliźniego, t.j. za otoczenie, za współczesną kulturę i politykę, za ustrój społeczny i gospodarczy, za warunki, w których człowiek żyje. Za istniejące w świecie otaczającym dobro i zło."

Tymczasem z pojęcia kultury w dalszym ciągu skwapliwie się wykreśla religię, co nie jest niczym innym, jak usuwaniem fundamentu kultury. Kultura to przede wszystkim religia.

I ci, którzy usiłują szerzyć kulturę bez religii i ci, którzy usiłują propagować religię w oderwaniu od kultury, są ślepi i nierozumni.

Spójrzmy na nasze emigracyjne podwórko! Raz po raz wypowiada się publicznie troskę o polską kulturę. Czyni się ogromne i pomysłowe wysiłki, by zakładać przedszkola, organizować kolonie harcerskie, nie dać zginąć teatrowi i pieśni — jakże słusznie! Czy jednak kiedykolwiek z ust gorliwych apostołów kultury polskiej wyszło słowo: religia?

Popiera się pewne czasopisma, jako niby niezmiernie kulturalne. Nigdy nie słyszeliśmy w tych dyskusjach i apelach o „Życiu", które wszak jest pismem „religijno-kulturalnym". W ostatnim zeszycie świetnej paryskiej „Kultury" znajduje się artykuł Michała Sambora p.t. „Na marginesie literatury emigracyjnej". Znowu to samo. Pisma religijne nie podpadają pod kompetencje kulturalne. Kogoż i czegoż nie ma w owej syntezie „literackiej"? Są politycy, są naukowcy, są żartownisie. Nie ma natomiast pracy O. Bocheńskiego „ABC tomizmu". A więc dzieło, które jest wydarzeniem kulturalnym na miarę światową — nie zostało dojrzane przez polskiego krytyka. Wywody na temat historycznego znaczenia parków lub instytucji przemytników należą do dziejów kultury, natomiast myśl tomistyczna widać nie. Oto symbol stosunku naszej inteligencji do kultury.

To prawda, że toczy się walka o przyszłość świata między chrześcijaństwem i bezbożnym komunizmem. Chrześcijaństwu jednak potrzeba żołnierzy. Nie potrzeba fałszywych proroków.

**Jan Bielatowicz**

Sprawy drażliwe

## JESZCZE JEDNA KLĘSKA IRLANDII

NIEDAWNO (27 u.m.) odbył się w Dublinie meeting protestacyjny przeciwko zastraszającemu zalewowi Irlandii przez wydawnictwa obce. Zebrani uchwalili rezolucję, wzywającą rząd i opozycję do ratowania grożącej zanikiem irlandzkiej akcji wydawniczej wobec faktu, że rocznie 50 milionów egzemplarzy wydawnictw angielskich przychodzi na Zieloną Wyspę.

„Czy wolno nam się nazywać rzeczywiście wolnym narodem i suwerennym państwem — mówił o. R.S. Devane T.J. — jeśli jesteśmy tak zależni w czytelnictwie prasy od ideałów, które nie są nasze? Czy istnieje jakiś kraj w Europie tak opanowany przez prasę drugiego kraju jak nasz — którym włada prasa zza Kanału"?

Jest to rzeczywiście zagadnienie poważne, bo sensualizm, płytkość i niemęski optymizm anglosaski, nie chcący widzieć nieszczęścia świata i części własnej za nie odpowiedzialności — nie jest najlepszą strawą dla katolickich Irlandczyków. Ale z drugiej strony trudno się dziwić czytającym mieszkańcom tego kraju: ich prasa jest zbyt jednostronna w doborze materiału. Nastawiona głównie na sprawy religijno-dewocyjne, musząca drukować niekoniecznie porywające a za to bardzo liczne kazania i przemówienia biskupów i księży, lub przynajmniej notować je i streszczać, nie potrafi zaspokoić wszechstronnych zainteresowań czytelników, a chociażby również powszechnie ludzkiej potrzeby tego, co Chesterton nazwał „bezużyteczną informacją".

W czasie niedawnych uroczystości Stulecia londyński „The Tablet" winił hierarchię i kler angielski za senność wielu organizacji katolickich, za marazm w sprawach kultury i akcji wydawniczej zwłaszcza w niedawnej przeszłości. Kler zbytnio nakrywał sutanną wiele dziedzin, pozostawionych wolnemu działaniu świeckich. —

Sprawiedliwość każe przyznać, że w Irlandii rzeczy nie są tak smutne jak w katolickiej części Kanady, która do tego stopnia znajduje się „pod sutanną", że nawet przenocowanie gościa na terenie wielu parafii zależy od zgody (czy też niezgody) proboszcza. Nie ma w tym kraju żadnego godnego uwagi swobodnego katolickiego ruchu kulturalnego, bodaj że nie ma ani jednego pisma o charakterze literackim.

Jakie są przyczyny tego zjawiska? Jedną z głównych jest wielowiekowy kompleks prześladowanej mniejszości, gdy istotne życie kraju rozgrywało się na polu wiary, tępionej, jak w Irlandii, krwawo i kiedy wodzostwo walki przypadło księdzu. Z drugiej strony jak katolicy w Kanadzie czy — zwłaszcza — mohikanie katolicyzmu w Anglii, którzy przetrwali w swym odosobnieniu i zastraszeniu aż do Aktu Emancypacyjnego, przystosowując się w wielu rzeczach do otoczenia purytańskiego, nałożyli taki tłumik na własne odwieczne obyczaje katolickie, że zaczęły ich razić. Na szczęście wielkie wpływy katolicyzmu kontynentalnego, głównie francuskiego i włoskiego, stworzyły przeciwwagę zarówno dla tutejszego, powiedzmy, katolickiego purytanizmu jak i dla przerostów irlandzkich. Ale nalot purytanizmu jest nawet i teraz obecny i na tym tle, prawdopodobnie, można zrozumieć zeszłoroczną wypowiedź G. Grene'a, który oświadczył, jakby broniąc się „na zapas", że ratuje swoją sztukę za cenę — nielojalności.

Każda władza, powiedział niedawno Papież, poprzez człowieka nosi w sobie niebezpieczeństwo, że może zostać nadużyta. Są pewne tereny, właściwe świeckim, pewne, właściwe tylko duchownym (i takie, które można by nazwać „mieszane"). A teren ściśle świeckiej pracy świeckich jest tak istotnie ważny dla chrześcijaństwa, że przez Papieży Piusa X i Piusa XI został podniesiony do udziału w hierarchicznym apostolstwie Kościoła, czyli, jak to wyjaśnił kiedyś Pius XI — jest udziałem świeckich w Odkupieniu świata. Ta świecka praca świeckich wtedy zyskuje swą zbawczą godność, jeśli dokonywa się przy współpracy z hierarchią. *Współpracy*, a nie w bezwzględnej zależności, gdyż oficerami w Akcji Katolickiej nie są księża, ale właśnie świeccy.

**jt**

**ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny.** Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. **Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; **w tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.